BŁAWATEK

KALENDARZYK DAMSKI na rok 1905

Lwów

KALENDARZYK DAMSKI

„BŁAWATEK"

NA ROK

1905

NAKŁADEM
DRUKARNI NARODOWEJ
(MANIECKICH)
WE LWOWIE

KALENDARZ ŚWIĄTECZNY POWSZECHNY.

Suchedni.

W Środę, Piątek i Sobotę 15, 17 i 19 marca.
W Środę, Piątek i Sobotę 14, 16 i 17 czerwca
W Środę, Piątek i Sobotę 20, 22 i 23 września.
W Środę, Piątek i Sobotę 32, 22 i 23 grudnia.

Wigilie z postem ścisłym.

Do Zielonych Świątek — do śś. Apostołów Piotra i Pawła — do Wniebowzięcia Najśw. Maryi Panny — do Wszystkich Świętych — do Niepokalanego Poczęcia Najśw. Maryi Panny -- do Bożego Narodz.

Wigilia przypadająca w Niedzielę, przenosi się na Sobotę poprzedzającą. — Jeśli zaś uroczystość Bożego Narodzenia przypada w Piątek lub Sobotę, wtedy postu niema.

Dnie krzyżowe.

W Poniedziałek, Wtorek i Środę przed Wniebowstąpieniem Pańskiem, t. j. 29, 30 i 31 Maja.

Święta ruchome.

według kalendarza rzymsko-katolickiego.

Popielec	8 marca
Wielkanoc	23 kwietnia
Wniebowstąpienie Pańskie. . .	1 czerwca
Zielone Święta	11 czerwca
Boże Ciało	22 czerwca

Święta ruchome

według kalendarza grecko-katolickiego

Nedila Miasopustna	20 Fewruara
Nedila Syropustna	27 Fewruara
Woskresenyje Chrysta . . .	17 Apryiłja
Woznesenyje Hospoda . . .	26 Maja
Soczestwie św. Ducha . . .	5 Junija

Zaćmienia przypadające w roku 1905.

W roku 1905 przypadają dwa zaćmienia słońca i dwa zaćmienia księżyca. — Z tych widzialne w naszych okolicach będą obadwa zaćmienia księżyca i tylko drugie zaćmienie słońca.

I. Zaćmienie księżyca dnia 19 Lutego, zaczyna się o g. 7 minut 27 wieczór, a kończy się o godzinie 9 minut 43. — Widzialnem będzie w zachodniej części wielkiego Oceanu. w Australli. Azyi. w Afryce i Europie.

II. Zaćmienie słońca dnia 6 marca. zaczyna się o godz. 3 minut 53 rano. a kończy się o godzinie 9 minut 39. — Widzialne będzie tylko na południowo-wschodnich wybrzeżach Afryki. na południowej części Madagaskaru. na południowym Oceanie Indyjskim. w Australii. Nowej Zelandyi i na południowem morzu lodowatem.

III. Zaćmienie księżyca dnia 15 Sierpnia. zaczyna się o godzinie 4 minut 12 rano, a kończy się o godzinie 6 minut 16. Widzialnem będzie w południowo-zachodniej części Europy, Afryce. na atlantyckim Oceanie. w Ameryce północnej i na wschodniej części Oceanu Wielkiego.

IV. Zaćmienie słońca dnia 30 sierpnia. zaczyna się o g. 0 minut 11 po południu. a kończy się o godzinie 5 minut 10. — Widzialnem będzie w wschodniej części Ameryki północnej, na północnym Oceanie atlantyckim. w północnej części Afryki. w Europie. Azyi zachodniej i w północnych okolicach podbiegunowych.

Panującym płanetą w roku 1905 jest Mars.

O roku 1905 należącym do lat pod panowaniem planety Słońca. pouczają doświadczenia. iż będzie w ogólności suchym i średnio ciepłym. — Prawdopodobnie wiosna będzie z początku wilgotna. potem piękna i sucha. — Lato suche i gorące. — Jesień także piękna z wczesnemi przymrozkami. — Zima sucha i łagodna. — Wogóle będą w tym roku urodzaje na ziarno dobre lecz nieobfite.

Tablica świąt ruchomych na przyszłych lat 10.

ROK:	POPIELEC:	WIELKAN.	ZIEL. ŚW.	BOŻE CIA.	ADWENT
1906	28 Lutego	15 Kwiot.	3 Czorw.	14 Czerw.	2 Grud.
1907	13 „	31 Marca	19 Maja	30 Maja	1 „
1908	4 Marca	19 Kwiet.	7 Czerw	18 Czerw.	29 Listop.
1909	24 Lntego	11 „	30 Maja	10 „	28 „
1910	9 „	27 Marca	15 „	26 Maja	27 „
1911	1 Marca	16 Kwiet.	4 Czerw.	15 Czerw.	3 Grudn.
1912	20 Lutego	7 „	26 Maja	6 „	1 „
1913	5 Lutego	23. Marca	11 Maja	22 Maja	30 Listop
1914	25 Lutego	12 Kwiet.	31 „	.1 Czerw.	28 „
1915	17 „	4 Kwiet.	23 „	3 „	29 „

STYCZEŃ

ma dni 31.

Słońce wstępuje w znak WODNIKA dnia 21.

Dnie tygodn.	ŚWIĘTA rzymsko-katol.	ŚWIĘTA grecko-katol.	IMIONA SŁOWIAŃSKIE
1 N	**Nowy Rok**	19 **N. p. Rożd. Hł. 6**	Mieczysław
2 P	Makarego op	20 Ihnatyja	Strzeżysław
3 W	Genowefy p.	21 Julyanny m.	Włastymiła
4 Ś	Tytusa B.	22 Anastazyi m.	Dobromir
5 C	Telesfora b	23 10 Mucz. w Kr.	Włastybór
6 P	**Trzech Króli**	24 Jewhenyi †	Bojomir
7 S	Walentego b.	25 **Rożd. Chrysta**	Świętosław
8 N	**A. 1. po 3 Król.**	26 **Sobor Pr. Boh**	Mścisław
9 P	Marcyanny	27 **Stefana Mucz.**	Władymira
10 W	Pawła pust.	28 2000 Mucz.	Dobrosław
11 Ś	Higiniusza	29 S. S. Mład.	Krzesimir
12 C	Honoraty p.	30 Anysyi m.	Czesława
13 P	Hilarego b.	31 Mełanyi	Bogomir
14 S	Feliksa z Noli	1 **Henwar 1905**	Radogost
15 N	**A. 2. po 3 K.**	2 **N. po Boh. Hł. 8**	Domosław
16 P	Marcelego I. p.	3 Małachyja pr.	Włodzim.
17 W	Antoniego p.	4 Sobor 70 Ap.	Rościsław
18 Ś	Pryski p.	5 Fteopempta	Jaropełk
19 C	Ferdynanda	6 **Bohoj. Hosp.**	Ratymir
20 P	Fab. i Sebas.	7 Sobor św. J.	Sebastyan
21 S	Agnieszki	8 Hryhorya pr.	Jarosława
22 N	**A 3. po 3 Król.**	9 **N. 1 po Boh. Hł.**	Witysław
23 P	*Zaślub. N. M. P.*	10 Hryhorya Jep	Wrocisława
24 W	Tymoteusza	11 Fteodozya	Chwalibóg
25 Ś	Nawr. ś. Pawła	12 Tatianny M.	Miłosz
26 C	Polikarpa b.	13 Ermyła i Str.	Skarbimir
27 P	Jana Chryz.	14 SS. Otec w S.	Przybysław
28 S	Karola W.	15 Pawła Ft.	Radomir
29 N	**A. 4 po 3 Król.**	16 **N. 2 po Boh. Hł. 2**	Zdzisław
30 P	Martyny p.	17 Antonya Wel.	Dobrogn.
31 W	Piotra Nolaski	18 Aftanazya	Spitogniew

NOTATKI

od 17 [illegible] na [illegible] [illegible]

25 X 50 =
25
1 0
125

5
5
2-50
12-50
1 —
2 3
3 52
40-00

12-

28

29-
29
58 X 9
54
4 0
4-64
4 64

72
4 15
5-22
6
10-44

NOTATKI

LUTY

ma dni 29.

Słońce wstępuje w znak RYBY dnia 21.

Dnie tygodn.	ŚWIĘTA rzymsko-katol.	ŚWIĘTA grecko-katol.	IMIONA SŁOWIAŃSKIE
1 Ś	Ignacego	19 Makarya	Żegota
2 C	NPM. Gromnicz.	20 Eufymija	Miłosława
3 P	Błażeja b.	21 Maksyma	Błażeja
4 S	Weroniki p.	22 Tymofteja ap.	Witosława
5 N	A. 5 po 3 Król.	23 N. 3 po Boh. Hł 3	Dobrochna
6 P	Doroty panny	24 Xenyi prep.	Bohdana
7 W	Romualda	25 Hryhorya ap	Sulisław b.
8 Ś	Jana z Mal.	26 Ksenofonta	Gniewomir
9 C	Apolonii p. m.	27 Joana Chryz.	Gorysław
10 P	Scholastyki p.	28 Jefrema	Tomiła
11 S	Łucyusza b	29 Ihnatya mucz.	Świętochna
12 N	A. 6 po 3 Kr.	30 N. 4 Trech Sw.	Radzyn św.
13 P	Katarzyny R.	31 Kyra i Joana	Jordan św.
14 W	Walentego b.	1 Fewr. Tryfona	Niemir
15 Ś	Faustyna m.	2 Stritenje Hosp	Szczęsław
16 C	Julianny pan.	3 Symeona i An.	Milada bł.
17 P	*Popielec † Kons.*	4 Izydora	Świętorad
18 S	Flawiana	5 Ahaftyi M.	Wielosława
19 N	A. Starozap.	6 N. o Myt. i Fa'ya	Czcisława
20 P	Nicefora męcz.	7 Parftenija	Ludomił
21 W	Eleonory	8 Fteodora	Onosława
22 Ś	Piotra kat.	9 Nykyfora	Wrocisława
23 C	Romany pan.	10 Charłampya	Przedzisław
24 P	Macieja Ap.	11 Własya mucz.	Mojmir
25 S	Anastazyi m.	12 Mełetya arch.	Sławobój
26 N	A. Mięsop.	13 N. o obł. S Hł. 6	Mirosław
27 P	Aleksandra b.	14 Kiryła	Wiarosława
28 W	Romana op.	15 Onysyma	Chwalibóg

MARZEC

ma dni 31.

Słońce wstępuje w znak BARANA dnia 20.

Dnie tygodn.	ŚWIĘTA rzymsko-katol.	ŚWIĘTA grecko-katol.	IMIONA SŁOWIAŃSKIE
1 Ś	Albina bisk.	16 Pamfyja m.	Budzisław
2 C	Symplicyusza	17 Fteodora m.	Radosław
3 P	Kunegundy kr.	18 Lwa pap. r.	Sławomiła
4 S	Kazimierza kr.	19 Archyppa	Kazimierz
5 N	A. Zapustna	20 N. Miasop. Ht. 7	Pakosław
6 P	Kolety p.	21 Tymofteja pr.	Wojsław
7 W	Tomasza z Ak.	22 SS. Mucz. w	Bogowit
8 S	*Pop.* Jana B.	23 Połykarpa	Miłogost
9 C	Franciszki p.	24 Obr. bł s. Joan.	Mścisława
10 P	40 męczennik.	25 Tarasia Arch.	Bożesław
11 S	Konstantyna	26 Porfyrya	Ludosława
12 N	A. 1 Wstępna	27 N. Syrop. Hł 8.	Swatosz
13 P	Rozyny i Rud.	28 Wasyłya	Niecisław
14 W	Matyldy	1 **Mart.** Jewdokii	Bożenna
15 Ś	*S.* Longina	2 Fteodota	Długomir
16 C	Lubina męcz.	3 Ewtropia	Ojcosław
17 P	Gertrudy p.	4 Harasyma Pr.	Zbigniew
18 S	Edwarda II.	5 Konona m.	Boguchwał
19 N	A. 2 Sucha	6 N. I Post. Hł. 1	Bohdan
20 P	Joahima i Kl.	7 Wasyłyja	Polemir
21 W	Benedykta	8 Fteofyłakta pr.	Lubomira
22 Ś	Oktawiana	9 S. S. 40 mucz.	Godysław
23 C	Wiktora m.	10 Kondrata m.	Zbisław
24 P	Gabryela ar.	11 Sofronya	Lubomira
25 S	Zwiastow. NPM.	12 Fteofana	Więczysł.
26 N	A. 3 Głucha	13 N. 2 Post. Hł. 2	Swiętobój
27 P	Ruperta	14 Wenedykta	Bohdar bł.
28 W	Sykstusa pap.	15 Ahapia mucz.	Krzesław
29 S	Cyryla	16 Sawyna	Czcimisław
30 C	Kwiryna m	17 Ałeksya P.	Szukosław
31 P	Balbiny panny	18 Kyryła Arch.	Dobromira

NOTATKI

~~31/7 przybyła cielińska od Osiki~~

Cielińska Krasula urodziła się 5 czerwca 1904 r.

11 listopada Kusiatula 904.

31 marca Halina 905

NOTATKI

6 go 1sza wizyta zmieszulkT 1 rab rwany	12 go 2a 2a bez zmieszulenia	19 go 3cia 2a bez	27 go 4a 1 zmieszulkT

37
+ 40
1 - 75 5
1 - 75 5
70 2
17
4 - 37

1·50
130
60
15
3 - 75
+ 62
4 - 37

110

60
2

12 1/2

p. Blaszt 4 fl. 16
z dłużej 5 40

KWIECIEŃ

ma dni 30.

Słońce wstępuje w znak BYKA dnia 20.

Dnie tygodn.	ŚWIĘTA rzymsko-katol.	ŚWIĘTA grecko-katol.	IMIONA SŁOWIAŃSKIE
1 S	Hugona bisk.	19 Chrysanfta	Zbigniew
2 N	**A. 4 Srodop.**	20 **N. 3 Post. Hł. 3**	Sudomir
3 P	Ryszarda bis.	21 Jakowa	Władysław
4 W	Izydora	22 Wasyłya	Mnożysław
5 Ś	Wincentego	23 Nykona prep.	Bożywój bł.
6 C	Celestyna 🌑	24 Zacharya pr.	Świętobór
7 P	Hermana wyz.	25 **Błah. P. Bohor.**	Przesław
8 S	Dyonizego B.	26 Sobor Hawr.	Radosław
9 N	**A. 5 Czarna**	27 **N. 4 Post. Hł. 4**	Dobrosława
10 P	Ezechiela pr.	28 Haryona	Gorysław
11 W	Leona W.	29 Marka	Jaromir
12 Ś	Juliusza p. ☽	30 Joana Łyst.	Lubosław
13 C	Justyna m.	31 Ipatya	Drzemysł.
14 P	*7 boleści NPM.*	1 **Apr.** Maryi	Myślimir
15 S	Anastazyi	2 Tyta Prep.	Wacław bł.
16 N	**A. 6 Kwiet.**	3 **N. 5 Post. Hł. 5**	Nosisław
17 P	Rudolfa bisk.	4 Josyfa prep.	Krasisław
18 W	Apoloniusza	5 Fteoduła	Gościsław
19 Ś	Emmy wd. 🌕	6 Jewptychia	Włodzim.
20 C	*Wieczerza P.*	7 Hrehorya Meł.	Czesław m.
21 P	*Wielki Piątek*	8 Irydiona	Drogomił
22 S	*Wielka Sobota*	9 Jewpsychya	Strzeżymir
23 N	**A. Wielkanoc**	10 **N. 6 Post. Hł. 6**	Wojciech ś.
24 P	**Poniedz. Wielk**	11 Antypy mucz.	Jerzy św.
25 W	Marka Ew.	12 Wasyłyja Meł.	Jarosław
26 Ś	Kleta i M. ☾	13 Artemona m.	Spitymir
27 C	Peregryna	14 Czetwer weł.	Bogufał
28 P	Witalisa m.	15 **Piatok wełyki**	Żywisław
29 S	Piotra m.	16 Subota wełyka	Sogosławt
30 N	**A. I po Wielk**	17 **Woskr. Hosp.**	Chwalisława

MAJ

ma dni 31.

Słońce wstępuje w znak BLIŹNIĄT dnia 20.

Dnie tygodn.		ŚWIĘTA rzymsko-katol.	ŚWIĘTA grecko-katol.	IMIONA SŁOWIAŃSKIE
1	P	Filipa i Jak.	18 Poned. Woskr.	Lubomir
2	W	Zygmunta kr.	19 Wtor. Woskr.	Witymir
3	Ś	*Znal. św. †*	20 Fteodora	Swiętosław
4	C	Floryana m.	21 Januaria	Wieńczysł.
5	P	Piusa V. pap.	22 Fteodora Syk.	Chocisław
6	S	Jana w Oleju	23 Heorhya m.	Gościwit bł.
7	N	A. 2 po Wielk.	24 N. 1 po Woskr.	Ludomiła
8	P	Stanisł. bisk.	25 Marka Jew.	Stanisławs.
9	W	Grzegorza N.	26 Wasyłyja	Bożerad bł.
10	Ś	Izydora oracz.	27 Symeona ep.	Cierpimir
11	C	Beatryksy p.	28 Jasona ap.	Ludowit
12	P	Pankracego ☽	29 Dewiat mucz.	Wszemił
13	S	Serwacego	30 Jakowa Ap.	Cichosław
14	N	A. 3 po Wielk.	1 **Maja**. N. 2 po W.	Dobiesław
15	P	Zofii i 3 cór.	2 Aftanazya m.	Strzeżysł.
16	W	Jana Nepom.	3 Tymoftėja	Wieńczysł.
17	Ś	Paschalisa	4 Pełahyi m.	Sławomir
18	C	Feliksa spow.	5 Iryny mucz.	Wszesław
19	P	Piotra Celes.	6 Jowa mnoh.	Krzesomyśl
20	S	Bernarda S.	7 Znam. cz. kres.	Bronimir
21	N	A. 4 po Wielk.	8 3 N. po Woskr.	Przesława
22	P	Julii panny	9 Jsaji pror.	Wisława bł.
23	W	Dezyderyusza	10 Symeona Ap.	Budziwoj
24	Ś	Joanny wd.	11 Mokija	Tomira
25	C	Grzegorza	12 Jepyfanta	Borysława
26	P	Filipa Ner. ☾	13 Hłyheryi m.	Wiecymił
27	S	Jana pap.	14 Izydora m.	Rusław
28	N	A. 5 po Wielk.	15 N. 4 po Woskr.	Jaromir
29	P	Maksyma } *Dn. krz.*	16 Fteodora	Bogusława
30	W	Feliksa } *Dn. krz.*	17 Andronika	Sulimir
31	Ś	Petron. } *Dn. krz.*	18 Fteodota	Bożesława

NOTATKI

4go 5go września 12go 6 września 1971

od 3go do p. Bl. 1½ l. mleka

Emy adres Mentergasse nr 5
I. Stock
Wien VII

NOTATKI

1 60
13
48 1

2-21

CZERWIEC

ma dni 30.

Słońce wstępuje w znak RAKA dnia 21.

Dnie tygodn.	ŚWIĘTA rzymsko-katol.	ŚWIĘTA grecko-katol.	IMIONA SŁOWIAŃSKIE
1 C	Wniebowst. P.	19 Patrykia	Świętopełk
2 P	Erazma bisk.	20 Ftatałeja	Ratysław
3 S	Klotyldy m. 🌕	21 Konstantyna	Branmiła
4 N	A. 6 po Wielk.	22 N. 5 po Woskr.	Litomił
5 P	Bonifacego	23 Mychaiła	Dobromir
6 W	Norberta b.	24 Symeona pr.	Cichomir
7 Ś	Roberta b. m.	25 Obr. hł. ś. J.	Wisław bł.
8 C	Medarda bisk.	26 Wozn. Hosp.	Wyszosław
9 P	Felicya i Prim.	27 Fteraponta	Sławoj
10 S	Małgorz. ☽ †	28 Nykity	Bogumił
11 N	A. Zielone ś.	29 N. 6 po Woskr.	Radomił
12 P	Pon. Ziel. św.	30 Izakyja	Wyszomir
13 W	Antoniego z P.	31 Jermija ap.	Chotymir
14 Ś	*Such.* Bazyl. †	1 Junyi. Justyny	Przedzimir
15 C	Wita i Modest.	2 Nykifora m.	Witołd
16 P	Franciszka R†	3 Łukyłyana m.	Budzimir
17 S	Adolfa 🌝 †	4 Subota zad	Drogomysł
18 N	B. I po św. Tr.	5 Sosz. s. Ducha	Długosław
19 P	Gerwaz. i Prot.	6 Poned. Sosz.	Borzysław
20 W	Sylweryusza	7 Fteodota św.	Bogna św.
21 Ś	Alojzego Gonz.	8 Fteodora Str.	Domysław
22 C	Boże Ciało	9 Kyryła arch.	Froniwój
23 P	Zenona bisk.	10 Tymofteja	Wanda
24 S	Jana Chrz.	11 Warftołomeja	Janisław
25 N	A. 2 po Św.	12 N. I Wsich SS.	Włastymił
26 P	Jana i Paw. m.	13 Akiłyny	Rozmysław
27 W	Władysława	14 Ełysija prep.	Władysław
28 S	Leona II. P.	15 Amosa prep.	Zbroisław
29 C	Piotra i Pawła	16 Eychona	Wyszomir
30 P	*Urocz. Serca J.*	17 Manuiła m.	Cichosław

LIPIEC

ma dni 31.

Słońce wstępuje w znak LWA dnia 23.

Dnie tygodn.	ŚWIĘTA rzymsko-katol.	ŚWIĘTA grecko-katol.	IMIONA SŁOWIAŃSKIE
1 S	Teobalda op.	18 Łeontya	Bogusław
2 N	A. 3 po Św.	19 N. 2 Tiło Chryst.	Ojcomił
3 P	Heliodora	20 Meftodya	Miłosław
4 W	Józefa Kalas.	21 Jułyana m.	Welisław
5 Ś	Filomeny p.	22 Jewsewya	Prokop
6 C	Izajasza pr.	23 Ahrypiny	Izasław
7 P	Pulcheryi p.	24 Rożd. ś. Joana	Krasnoroda
8 S	Elżbiety kr.	25 Fewronyi	Chwalimir
9 N	A. 4 po Św.	26 N 3 po S. Hł. 2	Strachota
10 P	Amalii p. ☽	27 Samsona	Radziwój
11 W	Pelagii m.	28 Kyra i Joan.	Olga św.
12 Ś	Henryka	29 Piotra i Pawła	Tolimir bł.
13 C	Małgorzaty p.	30 Sob. ss. 12 Ap.	Radomiła
14 P	Bonawentury	1 Jułyi. Kos i D.	Dobrogost
15 S	Rozesłan. Ap.	2 Poł. ryzy Boh.	Radosław
16 N	A. 5 po Św.	3 N. 4 po S. Hł. 3	Dzierzysł.
17 P	Aleksego	4 Andreja	Dzierzykraj
18 W	Szymona z L.	5 Aftanazya	Unisław
19 Ś	Wincentego	6 Syzona Weł.	Wodzisław
20 C	Czesława i K.	7 Ftomy prep.	Mirosława
21 P	Praksedy	8 Prokopija	Wszebor
22 S	Maryi Magdal.	9 Pankratya	Stosław i D.
23 N	A. 6 po Św.	10 N. 5 po S. Hł. 4	Bolesława
24 P	Krystyny ☾	11 Jewtymyja	Zelisław
25 W	Jakóba Apost.	12 Prokła	Lubomira
26 Ś	Anny m. NMP.	13 Sobor. ś. Haw.	Sławosz
27 C	Natalii panny	14 Akyły Ap.	Czesław
28 P	Innocentego	15 Kyryka i W.	Swiętomir
29 S	Marty panny	16 Aftynohena	Cierpisław
30 N	A. 7 po Św.	17 N. 6 po S. Hł 5	Zdobysław
31 P	Ignacego	18 Jemyłyana	Ludomir

NOTATKI

[illegible]

[illegible]

NOTATKI

269 z łączonych [illegible]

299 z ciemnych

2 8 16 / 1
2 8 1 6
4 9

SIERPIEŃ

ma dni 31.

Słońce wstępuje w znak PANNY dnia 23.

Dnie tygodn.	ŚWIĘTA rzymsko-katol.	ŚWIĘTA grecko-katol.	IMIONA SŁOWIAŃSKIE
1 W	Piotra w Ok.	19 Makryny	Bolisław
2 Ś	*NPM. Anielsk.*	20 Iłyi pror.	Świętosł.
3 C	Znal. ś. Szcze.	21 Symeona pr.	Letosław
4 P	Dominika wyz.	22 Maryi Mahd.	Ostromir b.
5 S	*NPM. Śnieżnej*	23 Trofyma	Stanisł. ś.
6 N	A. 8 po Św.	24 N. 7 po S. Hł. 6	Chlebosław
7 P	Kajetana w.	25 Uspenje s. A.	Oleh św.
8 W	Cyryaka wyz.	26 Jermołaja	Niezamyśl
9 Ś	Romana i Sek.	27 Pantałejmona	Borys i Chl.
10 C	Wawrzyńca m.	28 Prohora i Nik.	Wawrzyn.
11 P	Zuzanny panny	29 Kałynyka	Włodzimira
12 S	Klary panny	30 Syły Ap.	Sława bł.
13 N	A. 9 po. Św.	31 N. 8 po S. Hł. 7	Rosław
14 P	Euzebiusza	1 Awh. Prois. s. Kr.	Dobrowój
15 W	Wnieb. NPM.	2 Stefana m.	Jacław św.
16 Ś	Rocha wyzn	3 Izaakija	Domorad
17 C	Liberata bisk.	4 7 Otrok w E.	Miron św.
18 P	Heleny Ces.	5 Ewsychnia	Bronisława
19 S	Benigny panny	6 Preobr. Hosp.	Bolesław
20 N	A. 10 po Św.	7 N. 9 po S. Hł. 8	Sobiesław
21 P	Joanny Frem.	8 Jemylyany	Kazimira
22 W	Filiberta opat.	9 Mafteja ap.	Radomił
23 Ś	Filipa bisk.	10 Ławrentya m.	Cichomił
24 C	Bartłomieja	11 Jewpła	Cieszymir
25 P	Ludwika kr.	12 Fotya m.	Namysław
26 S	Zefiryny S.	13 Maksyma p.	Włastymiła
27 N	A. 11 po Św.	14 N. 10 po S. Hł. 1	Przedzisł.
28 P	Augustyna b.	15 Uspenje Boher	Wyszomir
29 W	Ścięcie ś. J. Ch.	16 Nerukot. Obr.	Racibor bł.
30 Ś	Róży z L.	17 Flora i Ławra	Szczęsny ś.
31 C	Rajmunda w.	18 Andreja m.	Świętosław

WRZESIEŃ

ma dni 30.

Słońce wstępuje w znak WAGI dnia 21.

Dnie ygodn.	ŚWIĘTA rzymsko-katol.	ŚWIĘTA grecko-katol.	IMIONA SŁOWIAŃSKIE
1 P	Idziego Op.	19 Andreja M.	Dzierzysł.
2 S	Justa biskupa	20 Samuiła prep.	Czcibóg
3 N	A. 12 po Św.	21 N. 11 po S. Hł. 2	Przesława ś
4 P	Rozalii panny	22 Ahaftonka	Rościsław
5 W	Wawrzyńca b.	23 Łuppa mucz.	Wodzisław
6 Ś	Zacharjasza ☽	24 Ewtychia	Drogowit
7 C	Reginy panny	25 Wartłomeja	Domosława
8 P	Narodz. NPM.	26 Andryana M.	Radosława
9 S	Gorgoniusz. m.	27 Pymona prep.	Sobiebór
10 N	A. 13 po Św	28 N. 12 po S. Hł. 3	Władybój
11 P	Jacka i Prota	29 Usik. hł. Joana	Iścisław
12 W	Gwidona w.	30 Ałeksandra	Radzimir
13 Ś	Tobiasza ○	31 Poł. Poj. P. B.	Chronisław
14 C	*Podwyższ. ś. †*	1 **Sept.** Symeona	Ziemomysł
15 P	Nikodema m.	2 Mamanta m.	Budzimił
16 S	Ludmili panny	3 Anftyma	Sędzisław
17 N	A. 14 po Św.	4 N. 13 po S. Hł. 4	Drogosław
18 P	Tomasza z W.	5 Zacharya	Dobrowit
19 W	Januarjusza	6 Wosp.cz.Mych.	Krzepimir
20 Ś	*Such.* Eust. †	7 Sozanta	Myślisław
21 C	Mateusza ☾	8 Rozd. Bohor.	Bożydar
22 P	Maurycego †	9 Joakima	Zelimir
23 S	Tekli panny †	10 Mynodory m.	Bogusława
24 N	A. 15 po Św.	11 N. 14 po S. Hł. 5	Homir
25 P	Kleofasa m.	12 Aftemona	Świętopełk
26 W	Cypryana	13 Kornyła Sot.	Ładysław b.
27 Ś	Kosmy i Dam.	14 Wozn. cz. Kres.	Damian
28 C	Wacława k. ◍	15 Nykyty m.	Wacław św.
29 P	Michała arch.	16 Jewfimyi	Dadzibóg
30 S	Hieronima W.	17 Sofii mucz.	Imisław

NOTATKI

NOTATKI

PAŹDZIERNIK

ma dni 31.

Słońce wstępuje w znak NIEDŹWIADKA dnia 21.

Dnie tygodu.	ŚWIĘTA rzymsko-katol.	ŚWIĘTA grecko-katol.	IMIONA SŁOWIAŃSKIE
1 N	A. 16 NMP. Roż.	18 N. 15 po S. Hł. 8	Znatysław
2 P	Leodegara	19 Trofyma m.	Stanimir
3 W	Kandyda m.	20 Eustatia	Sieman
4 Ś	Franciszk. Ser.	21 Kodrata	Bratysław
5 C	Placyda m. ☽	22 Foky mucz.	Zasław
6 P	Brunona wyz.	23 Zacz. św. Joana	Bronisław
7 S	Justyny panny	24 Ftekły mucz.	Rosława
8 N	A. 17 po Św.	25 N. 16 po S. Hł. 7	Wojsława
9 P	Wincentego K.	26 Joana B.	Dogomost
10 W	Franc. Borgia	27 Kałystrata	Tomił
11 Ś	Placydy męcz.	28 Charytona	Dobromiła
12 C	Maksymiliana	29 Kyriaka	Grzmisław
13 P	Edwarda k.	30 Hryhorya weł.	Ziemisław
14 S	Kaliksta pap.	1 Okt. Pokr. P. B.	Dzierżymir
15 N	A. 18 po Św.	2 N. 17 po S. Hł. 8	Długosława
16 P	Gawła apost.	3 Dyonysia	Radzisław
17 W	Lucyny	4 Jerofteja	Zastysława
18 Ś	Łukasza ewan.	5 Charytyny m.	Bratumił
19 C	Piotra z Alk.	6 Ftomy apost.	Ziemowit
20 P	Felicyana bis.	7 Serhya m.	Budzisława
21 S	Urszuli p. m. ☾	8 Pełahyi m.	Daromiła
22 N	A. 19 po Św.	9 N. 18 po S. Hł. 1	Przebysław.
23 P	Jana Kapistr.	10 Jewłampia	Włastymir
24 W	Rafała arch.	11 Fyłypa ap.	Siemisław
25 Ś	Jana Kantego	12 Prowa m.	Samomysł
26 C	Ewarysta pap.	13 Karpa mucz.	Lutosław
27 P	Sabiny męcz.	14 Nazarya	Witomił
28 S	Szym. i Judy ●	15 Ewfymija	Władybóg
29 N	A. 20 po Św.	16 N. 19 po S. Hł. 2	Damelit
30 P	Klaudjusza	17 Osyi pror.	Przemysł.
31 S	Wolfganga †	18 Łuki apost.	Godzimir

LISTOPAD

ma dni 30.

Słońce wstępuje w znak STRZELCA dnia 20.

Dnie tygodn.	ŚWIĘTA rzymsko-katol.	ŚWIĘTA grecko-katol.	IMIONA SŁOWIAŃSKIE
1 Ś	**Wsz. Świętych**	19 Joiła pr.	Warcisław
2 C	*Dzień zadusz.*	20 Artemija	Witymir
3 P	Huberta bisk.	21 Awerkyja	Chwalisł.
4 S	Karola Bor. ☽	22 Jakowa ap.	Mściwój
5 N	**B. 21 po Św.**	23 **N. 20 po S. Hł. 3**	Sławomir
6 P	Leonarda wyz.	24 Arefty	Wszewład
7 W	Herkulana	25 Markyana	Żytomir
8 Ś	4 Koronatów	26 **Dymetrya**	Sędziwój
9 C	Teodora męcz.	27 Nestora mucz.	Bogodar
10 P	Andrzeja z Aw.	28 Terentya m.	Ludomir
11 S	Marcina bis.	29 Anastazyi	Spitosław
12 N	**A. 22 p. NPM.**	30 **N. 21 po S. Hł. 4**	Nowosław
13 P	Eugeniusza	31 Stachyja ap.	Wszerad
14 W	Serafina wyz.	1 **Noj.** Kos. i Da.	Wodzimir
15 Ś	Leopolda ☽	2 Akindyna	Przybysł.
16 C	Otmara opata	3 Akepsyny	Radomir
17 P	Salomei panny	4 Joannyka pr.	Zbisław
18 S	Ottona opata	5 Hałaktyona	Stanisł. K.
19 N	**A. 23 po Św.**	6 **N. 22 po S. Hł.**	Drogomira
20 P	Feliksa ☾	7 Jerona	Sędzimir
21 W	*Ofiarow. NPM.*	8 **Mychaiła Arch.**	Sław
22 Ś	Cecylii panny	9 Onysifora m.	Wszemiła
23 C	Klemensa pap.	10 Erasta ap.	Miływój
24 P	Jana od krzyża	11 Myny mucz.	Dorosław
25 S	Katarzyny pan.	12 Joanna mył.	Chwalimir.
26 N	**A. 24 po S.**	13 **N. 23 po S. Hł**	Lechosław
27 P	Waler. i Wirgil.	14 Fyłyppa ap.	Tomir
28 W	Krescentego	15 Hurya i Sams.	Gościsław
29 Ś	Saturnina m.	16 Mafteja ap.	Przemyśl
30 C	Andrzeja ap.	17 Hryhorya N.	Ludosław

NOTATKI

3
1 80
4 80
4 00
4 60

6 gr zbać spr/
p. Bł. 9.60 60
p. Tinz 10 -80-
p. Bł. Ped. 16.20
p. Wis. 11 - 40
48.00 za listop

NOTATKI

13/го grud złać spirytus z janetrulli

1 1/2 dnie 3 dni prania –

150
40
20

---

2 – 10 Zosi

GRUDZIEŃ

ma dni 31.

Słońce wstępuje w znak KOZIOROŻCA dnia 20.

Dnie tygodn.	ŚWIĘTA rzymsko-katol.	ŚWIĘTA grecko-katol.	IMIONA SŁOWIAŃSKIE
1 P	Eligiusza bisk.	18 Platona	Samosława
2 S	Bibianny pan.	19 Awdyja	Szulisław
3 N	A. 1 Adwent. ☾	20 N. 24 po S. Hł.	Wislimir
4 P	Barbary pan.	21 Wowed. Boho.	Lubomiła
5 W	Sabby opata	22 Fyłymona	Spitosława
6 Ś	Mikołaja bis.	23 Amfyłokia	Jarogniew
7 C	Ambrożego †	24 Ekateryny	Ludomyśl
8 P	Niep. Pocz. M.	25 Kłymenta	Boguwola
9 S	Leokadyi pan.	26 Ałyppa	Weszława
10 N	A. 2 Adwent.	27 N. 25 po S. Hł.	Radzisława
11 P	Damazego p.	28 Stefana mucz.	Wojmir
12 W	Aleksandra	29 Paramona	Wolidar
13 Ś	Łucyi i Otylii	30 Andreja ap.	Władysław
14 C	Nikazego	1 Dekem. Nauma	Sławitlor
15 P	Fortunata	2 Awakuma	Wolimir
16 S	Adelajdy ces.	3 Sofonia	Zdosława
17 N	A. 3 Adwent	4 N. 26 po S. Hł.	Żyrosław
18 P	Gracyana m.	5 Sawwy ośw.	Wszemł
19 W	Nemezyusz. ☾	6 Nykołaja	Mścigniew
20 Ś	*Such.* Teofil. †	7 Amfrozya	Bogumiła
21 C	Tomasza ap.	8 Patapia	Tomisław
22 P	Zenona m. †	9 Zacz. P. Eoh	Drogomir
23 S	Wiktoryi p. †	10 Myny i Erm.	Sławomira
24 N	A. 4 Adwent.	11 N. 27 po S. Hł.	Godysława
25 P	A. Boże Narodz.	12 Spirydyona	Grzmisł.
26 W	Szczepan. m.	13 Ewstrachia	Wróciwój
27 Ś	Jana Ew.	14 Ftyrsa m.	Radomyśl
28 C	Młodzianków	15 Elewterya	Godzisław
29 P	Tomasza bisk.	16 Ahhea	Gosław bł.
30 S	Dawida króla	17 Danyiła św.	Ludomił.
31 N	A. po B. N.	18 N. 28 po S. Hł. 3	Lassota

Kalendarz żydowski.

7-go Stycznia 1905.	1-go Szebat 5665.
6 „ Lutego.	1 „ Adar.
19 „ „	14 „ Adar. Mały Purim.
1 „ Marca	1 „ Weadar
20 „ „	13 „ „ Post Estery.
21 „ „	14 „ „ Purim czyli Haman.
22 „ „	15 „ „ Szusan Purin
6 „ Kwietnia	1 „ Nisan.
20 „ „	15 „ „ **Początek Wielkanocy**
21 „ „	16 „ „ **Drugie św. Wielkanocy**
26 „ „	21 „ „ **Siódme św. Wielkanocy**
27 „ „	22 „ „ **Koniec Wielkanocy**
6 „ Maja	1 „ Ijar.
23 „ „	18 „ Ijar. Szkolne święto. (Lag-B.)
4 „ Czerwca	1 „ Siwan,
9 „ „	6 „ Siwan. **Zielone święta**
10 „ „	7 „ „ **Drugi dzień Ziel. św.**
4 „ Lipca	1 „ Tamuz.
10 „ „	17 „ Tamuz. Post Zdobycie świątyni.
2 „ Sierpnia	1 „ Ab.
10 „ „	9 „ Ab. Post Spalenie świątyni.
1 „ Września	1 „ Elul.
30 „ „	1 „ Tiszri **Nowy Rok 5666.**
1 „ Października	2 „ Tiszri. **Drugie św. Now. Roku**
2 „ „	3 „ Tiszri. Post Godalija.
9 „ „	10 „ Tiszri. **Święto pojednania**
14 „ „	15 „ Tiszri. **Pierwsze św. Kuczek**
15 „ „	16 „ Tiszri. **Drugie św. Kuczek**
20 „ „	21 „ Tiszri. Palmowe święto.
21 „ „	22 „ Tiszri. **Zgrom. cz. kon. Kuczek**
22 „ „	23 „ Tiszri. **Radość z prawa.**
30 „ „	1 „ Marcheswan.
29 „ listopada	1 „ Kislew.
23 „ Grudnia	25 „ Kislew Pośw. świąt. Hanuka.
29 „ Grudnia	1 „ Tebet.

Należytości stemplowe.

Skala I.

na weksle

powyżej Kor.	do Kor.	należytość Kor.
	150	—·10
150	300	—·20
300	600	— 40
600	900	—·60
900	1.200	—·80
1.200	1·500	1 00
1.500	1.800	1·20
1.800	2 100	1 40
2 100	2.400	1·60
2 400	2.700	1·80
2 700	3.000	2·—
3.000	6.000	4·—
6.000	9.000	6·—
9.000	12.000	8·—
12.000	15.000	10·—
15.000	18.000	12·—
18.000	21.000	14·—
21.000	24.000	16·—
24 000	27.000	18·—

Od każdych dalszych 3000 koron, opłaca się o 2 kor. więcej, przyczem resztę nie wynoszącą 3.000 koron, za pełne 3000 kor. liczyć należy.

Skala II.

na dokumenta które ani pod I. ani pod III. skalę nie należą.

powyżej Kor.	do K	nal. K.h.
	40	—·14
40	80	—·26
80	120	—·38
120	200	—·64
200	400	1·26
400	600	1·88
600	800	2·50
800	1.600	5·—
1.600	2 400	7 50
2.400	3.200	10·—
3.200	4.000	12·50
4.000	4.800	15·—
4.800	6.400	20·—
6.400	8 000	25·—
8.000	9.600	30·—
9.600	11.200	35·—
11.200	12.800	40·—
12.800	14 400	45 —
14.400	16 000	50·—

Od każdych dalszych 800 koron, opłaca się o 2 K. 50h. więcej, przyczem resztę, nie wynoszącą 800 K. za pełne 800 kor. uważać należy.

Skala III.

na dokumenta prawne

powyżej Kor.	do K.	nal. K.h.
	2	—·14
20	40	—·26
40	60	—·38
60	100	—·64
100	200	1 26
200	300	1 88
300	400	2 50
400	800	5 —
800	1.200	7 50
1·200	1.600	10·—
1·600	2.000	12 50
2.000	2.400	15·—
2.400	3.200	20·—
3.200	4.000	25·—
4.000	4.800	30 —
4.800	5.600	35·—
5.600	6 400	40·—
6.400	7.200	45·—
7.200	8.000	50·—

Od każdych dalszych 400 koron opłaca się o 2 K. 50h. więcej, przyczem resztę, nie wynoszącą 400 K. za pełne 400 kor. uważać należy.

Taryfa fiakrów i dorożek:

	Fiakier dwukonny		Dorożka 2-konna		Dorożka 1-konna	
Za jazdę z lekkim pakunkiem:	K.	h.	K.	h.	K.	h.
z miasta do dworca głównego lub odwrotnie w dzień	2	20	1	40	1	—
w nocy	2	40	1	60	1	20
Z miasta do dworca Podzamcze lub odwrotnie w dzień	1	80	1	—		80
w nocy	2	—	1	20		90
Za większy pakunek umieszczony na siodle dopłaca się		40		40		40
Za jazdę pojedynczą bez zatrzymania się i powrotu, w dzień	1	—		60		50
w nocy	1	10		70		60
Jazdy za wynagrodzeniem czasu:						
za pierwszych 30 minut w dzień	1	40	1	—		80
w nocy	1	80	1	20	1	—
za każde następne 15 m. w dzień		60		40		30
w nocy		70		50		40
Za jazdę spacerową za pierwszych 30 minut, w dzień	1	70	1	40	1	—
w nocy	1	90	1	60	1	10
za każde następne 15 m. w dzień		70		50		40
w nocy		80		60		50
Jazdy: na Wysoki Zamek, do ogrodu Kiselki, do Pohulanki, na Zofiówkę, do Żelaznej wody, na Wulkę, do wojskowej pływalni, na Bajki, do cmentarzy i dworca czerniowieckiego w dzień	1	60	1	—		80
w nocy	1	70	1	20	1	—
Do rogatek: Janowskiej, Łyczakowskiej, Stryjskiej, Wuleckiej, Zielonej; do toru wyścigowego, Cetnerówki, Krasuczyna i Snopkowa w dzień	1	80	1	20	1	—
w nocy	2	—	1	40	1	20

Noworocznik

„BŁAWATKA“

1905.

DO KOBIETY.

Choć serca znęcisz skrawych ócz kryształem,
Lub je podeptasz czczej myśli suchością —
Nie będziesz jeszcze żywym ideałem,
Nie będziesz jeszcze niewieścią pięknością.

Skromność bez wiedzy, lub rumiane lice,
Również się dzisiaj na mało przydały:
Nie być — lecz wyróść musisz na dziewicę,
Przechodząc zwolna świat ten bolu cały.

A gdy z twych natchnień, i mąk, i łez mnóstwa,
Wypłynie w końcu święty promień Bóstwa
I twarz ci zleje światłem wiecznotrwałem;

Gdy na twem bladem, marmurowem czole
W wieniec się mocy splotą życia bole:
Wtedyś pięknością, wtedyś Ideałem!

Zygmunt Krasiński.

ZABAWY DZIECIĘCE.

Od pewnego czasu urządzane są pod różnymi pozorami publiczne zabawy dla dzieci. Jest to nowość, wobec której powstaje pytanie: czy takie zabawy, a nawet w ogóle zabawy głośne i tłumne, odpowiadają zdrowym pojęciom pedagogicznym? Pytanie to ważne, jak wszystko, co tyczy się wychowania, od niego bowiem w wielkiej mierze zależy przyszłość społeczeństwa, błędy małe z pozoru, przynoszą nieraz szkody nieobliczone.

Nie wiem, czy dzisiaj rodzice więcej kochają swoje dzieci, niż je kochano dawniej; to jednak pewna, że je kochają inaczej, że lubią zacierać różnice wła-

ściwe wiekowi i co za tem idzie, lubią dawać udział dzieciom w swoich rozrywkach i życiu. Może dlatego spotykamy się często ze zdaniem, że dzisiaj niema już dzieci. Coraz też więcej widzimy takich, które się wprost bawić nie umieją, ale trawią czas wolny na chodzeniu z kąta w kąt, naprzykrzaniu się, przeszkadzaniu wszystkim, przysłuchiwaniu się rozmowom starszych, których rozumieć nie mogą, a które budzą w nich przedwczesne myśli i uczucia.

Każdy wiek ma swoje prawa, odpowiednie sobie przyjemności, oparte na właściwościach filozoficznych i umysłowych. Dziecko bawi się najlepiej za pomocą podniet wewnętrznych a jednem z ważnych zadań wychowania jest wyrobić w niem nawyknienie szukania i znajdowania łatwych rozrywek, których mu każdy drobiazg nastręcza. Stanowi to szacowny nabytek na przyszłość.

Przyuczając więc dzieci do zabaw ludzi dorosłych, rodzice wyrządzają bezwiednie ciężką krzywdę młodemu pokoleniu, gdyż te zabawy opierają się na kategoryi uczuć i wrażeń, które dzieciom obce być powinny, których przedwczesne

pobudzenie tłumi instynkty temu wiekowi właściwe i staje nawspak normalnemu rozwojowi.

Dziecko posiada zwykle tak bujną wyobraźnię, iż wymyślne zabawki są dla niego zupełnie zbyteczne, nie potrzebuje ono podniet zewnętrznych, trochę gałganków zastępuje mu lalkę, kij — konika. Drży ono ze strachu, gonione przez mniemanego rozbójnika, choć wie doskonale że to braciszek lub siostra. Wyobraźnia przetwarza wszystko w jego oczach, bawi się więc wybornie bez całego aparatu świetności, którego wymagają ludzie dojrzali; ale za to dziecko potrzebuje swobody, a tej właśnie w publicznem zgromadzeniu mieć nie może. Zabawa bez głośnego śmiechu, krzyku, bez gwałtownych ruchów, nie będzie zupełną. Wrażenia jego muszą manifestować się na zewnątrz tak dalece, iż nieraz bezwiednie wybucha krzykiem. Szersze horyzonty są dla niego zbyteczne, bo nie zdołało jeszcze ogarnąć małego, otaczającego świata, w którym wszystko jest mu nowością. To właśnie nadaje wrażeniom jego świeżości i bez szkody zacierać jej nie można.

W prawidłowym rozwoju dziecko po-

winno zjawiska życiowe ogarniać, przechodząc od prostych do składanych, zbyteczne zaś pobudzenie czyni je obojętnem na to, co dotąd wywoływało zajęcie, podnieca niezdrowe ciekawości pożądania, a nadewszystko rozwija miłość własną w fałszywym kierunku. Dziecko ma jej bardzo wiele, tak samo, jak człowiek pierwotny; rani je dotkliwie każde szyderstwo, każde poniżenie, tem bardziej, że nie rozwinęły się w niem jeszcze inne czynniki, któreby ten ból złagodzić mogły i które czynią nieraz dojrzałego człowieka obojętnym na sądy ludzkie.

W wielkiem mieście dziecko narażone jest ciągle na porównania, które jego miłość własną drażnią, spotyka co chwila rówieśników strojniejszych, mających ładniejsze zabawki i t. p.; ale to wszystko najpilniej zwraca uwagę na wspólnej zabawie. Na ulicy, w ogrodach zbliżenie może być przypadkowe, w towarzystwie jest umyślne, i matki starają się w takim razie, by ich dziecko nie przedstawiało się gorzej od innych, zajmują się więc pilnie jego ubiorem, powierzchownością, starają się wyrobić w niem układność i dają mu przestrogi często sprzeczne

z temi, jakie codziennie odbiera. Na takiej zabawie także uwaga musi być zwrócona na pozory, a nauki podobne odnoszą szybki skutek. Dziecko stara się podobać, zdobyć sobie powodzenie, naśladuje starszych, uśmiecha się podniecone, zgorączkowane, i uczy się flirtować, nim ma pojęcie o znaczeniu tego wyrazu. Czy może mu to moralnie iść na zdrowie?

Przytem, z konieczności, w licznem zgromadzeniu dziecko spotyka rówieśników źle wychowanych, albo też nie chowanych wcale, i skwapliwie przyswaja sobie ujemne przykłady, nie zwracając uwagi na dobre Wychowawcy przekonali się już dowodnie, jak zgubny wpływ złe towarzystwo wywiera na dzieci. Umysłom ich wrażliwym brak krytycyzmu, więc im są staranniej strzeżone od złego przykładu, tem silniej on uderza ich kontrastem, wraża się w pamięć i pobudza do naśladownictwa.

Ale gdyby nawet dziecko nie odniosło doraźnej szkody z zabawy publicznej, nie odniesie też z niej z pewnością żadnej korzyści, a utracić może smak do przyjemności, jakie zadowalały je dotychczas.

Ogólnie mówiąc, tak moralne jak fizy-

czne zdrowie dziecka, na którego wątły organizm tłum wywiera wpływ ujemny, wymaga, by jak najwięcej przebywało w kole najbliższych. Tam jest jego właściwe miejsce, i w najskromniejszej rodzinie znajdzie ono rozrywki, które mu starczą, dopóki innych nie pozna, a które zostawią umysł jego i serce w spokoju, nie budząc przedwczesnych współzawodnictw nie podniecając fałszywych ambicyi. W szkołach spotka się ono i tak z różnolitymi warunkami życiowymi, ze współtowarzyszami różnego wychowania i położenia w hierachii społecznej, ale spotka się na zupełnie innym g uncie, niż na zabawie. Miłość własna jego będzie niezawodnie podrażniona nieraz, jednak przy współzawodnictwie naukowem, pracą, zdolnością może przeważyć szalę na swoją korzyść.

Współzawodnictwo w nauce pobudza do usiłowań które jego złe strony równoważą, i jest zupełnie różne od współzawodnictwa towarzyskiego, które koniecznie na zabawach publicznych powstać musi, bo na takiej zabawie dziecko nieraz gorzko odczuje, że jest mniej bogate, mniej ładne, gorzej ułożone od wielu współtowarzyszów. Wprawdzie w przyszłości

podobne gorycze czekają je także, a wychowanie powinno być przygotowaniem do życia, ale przygotować należy ostrożnie i umiejętnie, pamiętając, że dziecko podobne jest do wątłej jeszcze rośliny, potrzebującej odpowiedniej sobie atmosfery. Nie powinno się ono spotykać z rozkładowymi czynnikami, nim potrafi stawić im opór, usuwać więc trzeba z jego drogi te, które usunąć można, a nadewszystko nie należy rozbudzać przedwcześnie namiętności i nie narażać go na pokusy, które czekają w życiu dojrzałego człowieka.

Walerya Marrené-Morzkowska.



MODLĄCA SIĘ.

Pięknaś, gdy łono twoje od brylantów świeci,
Gdy włos twój utrefiony i wieniec na czole,
Gdy po szybach błyszczących nóżka twoja leci
I kibić twa powiewa w zazdroszczących kole.

Pięknaś, gdy pośród pięknych przy biesiadnym stole
Siedzisz z okiem iskrzącem w uroczym ubiorze.
Taką cię inni wielbią: ja cię nie tak wolę. —
Bo, wierz mi, najpiękniejszaś przed Bogiem w pokorze.

Widziałem cię śród modłów, kiedyś w skrusze cała
Tak pilnie na pobożnej książeczce czytała;
Nie patrzyłaś na ludzi, myśl twa była w niebie.

O, niewinna grzesznico! czemuż gdy z uśmiechem
Oko twe nie strzelało — napełniałaś grzechem
Serca tych, co się wtenczas modlili do ciebie?

Józef Korzeniowski.

Widzenie się w gaju.

„Tyżeś to i tak późno?“ — „Błędną miałem drogę“.
Śród lasów, przy niepewnym księżyca promyku.
Tęskniłaś (myślisz o mnie?„—“Luby niewdzięczniku!
Pytaj się, czy ja myśleć o czem innem mogę!“
— „Pozwól uścisnąć dłonie, ucałować nogę“.
Ty drżysz! czego?“ —„Ja nie wiem“ Błądząc po gaiku
Lękam się szmeru liścia, nocnych ptaków krzyku;
Ach! musimy być winni, kiedy czujem trwogę!“
—„Spojrzyj mi w oczy, w czoło; nigdy z takim czołem
Nie idzie zbrodnia, trwoga nie patrzy tak śmiele.
Przebóg! jesteśmy winni, że siedzimy społem?
Wszak siedzę tak daleko, mówię tak niewiele,
I zabawiam się tobą, mój ziemski aniele!
Jak gdybyś już niebieskim stała się aniołem.

Adam Mickiewicz.

ROCZNICA.

Przed rokiem, w dniu iskrzącej się pogody letniej, szła w pole tak szczęśliwa, że zdawało się jej, iż stopami nie dotyka ziemi. Świat był dla niej, nie światem, ale rajem. Jak bogowie nektarem, żyła miłością. Kochana i zakochana przebywała święto życia, nie myśląc o tem, że mogą po niem nastąpić dnie powszednie. Wsparta na ramieniu narzeczonego szła drogą polną, wśród zboża dojrzałego, rozmawiając o rzeczach tak lekkich, skrzydlatych, wdzięku pełnych, jak motyle. Mówili ze sobą o podróży poślubnej. Kraje nieznane, ludy ciekawe, stolice, góry, jeziora, wodospady, cuda natury i czary

sztuki — w otoczeniu cudów i czarów samotności we dwoje. Gdy jesień chmurnem czołem wzbije się pod niebo, a mglisty płaszcz zarzuci na drzewa posmutniałe, wtedy roztoczą skrzydła i ulecą. Ulecą w wiosnę pachnącą, w lato rozkwitłe, jak dwa wolne ptaki ważyć się będą na złotych skrzydłach w bezchmurnych błękitach. Serca ich to kosze nenufarów wodnych i goździków purpurowych, a nadzieje, marzenia — chór słowików śpiewających i rój skrzydlatych motyli.

Wtem usłyszała cichy płacz. Szedł od samej ziemi, od stóp płowej ściany zboża. Spojrzała. Dziecko maleńkie, w szarej koszulinie, z bosemi nóżkami, tonącemi w gęstych ziołach, z włosami rozrzuconemi, których barwa słabym zaledwie odcieniem różniła się od barwy kłosów. Łzy ciche, ale rzewne, oblewały mu twarz drobną, jak gęsta rosa główkę bladego kwiatu. Dziwny, przydrożny kwiat, płaczący w chwili, gdy świat nie światem jest, ale rajem! Czego ono tak płacze?

W górach nie zatrzymają się długo, bo może tam być zimno. Chłód to ostrze, a ją, u jego boku, z lekka nawet nie draśnie nigdy żadne ostrze natury, ani życia.

Przyszłość jej to ciepły i miękki aksamit. Przelotem tylko spojrzą na Aar, „co wody zielonemi spada“, i ulecą tam, gdzie „kapią bluszcz i róże“.

Minęli dziecko, płaczące pod ścianą zboża. Już nie słychać cichego szlochania. Jednak czego ono tak płacze? Obejrzała się i zobaczyła, że za nią obróciło oczy. Z za grubej szyby łez prześwieca w nich błękit turkusowy. Włosy jak kłosy, oczy. jak turkusy, koszulina jak ziemia, u bosych nóżek żółtą kiścią kwiatu wysoko strzela dziewanna.

Ulecą tam, „gdzie kapią bluszcz i róże“.. Tak pięknem było brzmienie głosu jego, gdy słowa wielkiego poety powtarzał, że szła u jego boku coraz dalej, z duszą w tych brzmieniach roztopioną. czując, że ją „wzięły duchy i gdzieś w niebieskie uniosły lazury“.

Tylko potem, w noc późną, kiedy sama jedna przez okno otwarte patrzała na gwiazdy i dzień przeminiony jak sznur gwiazd przez pamięć przesuwała, smugą leciuchnego obłoczku przewinęło się po jej niebie zapytanie: — Czego dziecię to tak płakało? Przewinęło się zapytanie, zasnuło się za gwiazdy i w złotym ich roju zniknęło.

. . . .

. . . W rok potem już tylko wspominała.

Orkan przeleciał i uczynił z życia step suchy, twardy, bez palm i oaz. Nie odbyła podróży poślubnej, nie brała ślubu. Z przestworza wypełzł potwór, który nenufary i goździki zdeptał, a motyle potruł. Mniejsza o to, jak mu było na imię, bo mnóstwo takich potworów chodzi po świecie, zamieniając go na pustynię. Świat nie był już dla niej rajem, ani nawet światem, lecz pustynią. W dniu iskrzącej się pogody letniej szła w pole z sercem tak pełnem kamieni i cierni, że zdawało się jej, iż z trudnoscią stopy od ziemi odrywa. Przebywała żałobę ciężką, nie myśląc, aby po niej przyjść mogła pociecha. Szła sama jedna drogą polną, wśród zboża dojrzałego i sama z sobą rozmawiała o rzeczach przeminionych. Ci, którzy szczęście utracili, miewają pamięć pełną rocznic, które obchodzą zdwojonym płaczem. Dziś rok... dziś dwa lata!... Są to takie dnie zaduszone w których serce, nad skrytą w nich mogiłą, uderza w żałobne podzwonne. Ona dziś obchodziła rocznicę rajsko przeżytego dnia i po wiele razy owijała dokoła serca

wieniec uwity z grobowych nieśmiertelników. Szorstki był i ciężki: płatki jego przeszywały ją zimnemi ostrzami. Odkąd tęczowy brylant jej przepalił się na czarny węgiel, czarność okryła przed nią niebo ziemię i przyszłość. Myśli, że razem ze szczęściem swem umarła, i przyszłość będzie dla niej podróżą pośmiertną. I oto dostała się jej ta podróż w udziale zamiast tamtej — poślubnej! Lęka się jej i wcale nie wie, po co odbywać ją będzie, skoro nie widzi przed sobą nic, ku czemuby szła z ochotą.

Powiodła wzrokiem dookoła: wszystko tak samo, jak było rok temu, dziś rok. Pogoda iskrząca się błękitem i złotem, dwie płowe ściany zboża, na wysokiej łodydze żółta kiść dziewanny... Wszystko tak jak rok temu... Upaść tylko na klęczki, czołem uderzyć o ziemię i modlić się za świeżą, ufną, gorącą duszę swoją, która umarła na łożu zwiędłych nenufarów, pod całunem otrutych motyli. Na jej miejsce wstąpiła w nią dusza inna: gorzka, gniewna, posępna, pełna odraz i łez... Młode drzewo przydrożne objęła ramionami, pochyloną jej głowę giął ku ziemi kamień nieszczęścia.

Wtem usłyszała w pobliżu płacz dziecka. Szedł od samej ziemi, od stóp płowej ściany zboża. Spojrzała. Dziecko maleńkie, w koszulinie szarej, z bosemi nóżkami, tonącemi w gęstych ziołach, z włosami rozrzuconymi, których barwa słabym za ledwie odcieniem różni się od barwy kłosów. Łzy ciche, ale rzewne, oblewają mu twarz drobną, jak gęsta rosa główkę bladego kwiatu . .

— O dziwny, przydrożny kwiecie, któryś płakał wtedy, gdym szła w parze ze szczęściem i płaczesz teraz, gdy samotna, usta spieczone przykładam do szorstkiej kory drzewa! Ktoś ty jest dziecko? czego płaczesz?

Pochyliła się i zobaczyła, że wzniosło ku niej oczy. Z za grubej szyby łez prześwieca w nich błękit turkusowy Włosy jak kłosy, oczy jak turkusy, koszulina jak ziemia, u bosych nóżek dziewanna strzela wysoko żółtą kiścią kwiatu.

— Ktoś ty dziecko? Czego płaczesz? Byłeś w dniu święta mego i jesteś w dniu żałoby. Płakałeś, gdy byłam w raju, i płaczesz znowu, kiedy przebywam pustynię. Drogiem mi jesteś. Drogiem jest każde ziarno piasku, które wynosimy na sukni

z przechadzki po krainie szczęścia. Obojętnie wówczas ominęłam cię, bo w krainie szczęścia świeci słońce oślepiające i głos najdroższy w niebieskie unosił mnie lazury. Ale teraz mam oczy gorące od płaczu i widzę lepiej. Powiedz, kwiecie przydrożny, jakie uderzyły w ciebie grady, jakie sparzyły cię piołuny? Możeś głodne? Mam dom pełen chleba i mleka, pójdź do mego domu. Gdy w białem mleku zaróżowieją twe blade usta, bólowi memu ubędzie czerwoności. Możeś głodne, nie chleba, ale pieszczoty? Pójdź mi na ręce. Dopóty oczy twe poić będę słodyczą pocałunków, aż oschną w nich słone łzy. Możeś po zmarłych rodzicach sierotą? Pójdź mi na serce. Jemu również odumarło szczęście.

Wyciągnęła ramiona, zaokrągliła je dookoła drobnej postaci i objęła — próżnię. Płowe kłosy stały ścianą gęstą, żółta dziewanna kwitła na łodydze wysokiej, lecz płaczącego dziecka nie było. Tam, gdzie je widziała, liliowe brunelki, stojąc w wyprostowanych postawach, mówiły: nie było go tu wcale!...

Cóż to znaczy? Widmo? Najpewniej widmo, skoro pierzchło, zniknęło. W dzień zaduszny wywołało je wspomnienie. Ziarn-

ko piasku, wyniesione na sukni z przechadzki po raju, zamigotało przed oczyma i z wiatrem — umknęło.

Lecz tego widma i tego źdźbła piasku myśl jej uczepiła się, jak tonący liny ratunkowej, myśl gorzka, żałośna, pędząca po przestworzach za kroplą słodyczy, za iskrą światła.

Wracała do domu zamyślona. Zapytywała: czem jest to, co płakało wówczas kiedy była szczęśliwa, i płacze teraz, kiedy cierpi? Gdzie są blade usta, które, gdy zaróżowią się w białem mleku, bólowi jej ubędzie czerwoności? Kędy na żałobne podzwonne uderzają serca, którym tak, jak jej sercu, odumarło — szczęście?

Idzie ich szukać. Idzie szukać biednych kwiatków przydrożnych, pobladłych sierocych . . .

Eliza Orzeszkowa.

Jednego serca! tak mało!...

Jednego serca! tak mało! tak mało!
Jednego serca trzeba mi na ziemi!
Co by przy mojej miłością zadrżało,
A byłbym cichym pomiędzy cichemi.

Jednych ust trzeba! skąd bym wieczność całą
Pił napój szczęścia ustami mojemi,
I oczu dwoje, gdziebym patrzał śmiało,
Widząc się świętym pomiędzy świętemi.

Jednego serca i rąk białych dwoje!
Coby mi oczy zasłoniły moje,
Bym zasnął słodko, marząc o aniele.

Który mnie niesie w objęciach do nieba...
Jednego serca! tak mało mi trzeba,
A jednak widzę, że żądam — zawiele.

Adam Asnyk (El...y.)

Śnieżyca.

Nad polem wskróś — mgła blada.
Lekuchny, srebrny, suchy,
Wirując lotne puchy,
Śnieg pada.

Zawieja tańczy biała,
Pod niebem gdzieś swawolna,
A zaś się kładzie zwolna,
Omdlała.

W mar dziwnych korowody
Zaludnia dachy, ziemię,
Otula pnie, ogrody,
I drzemie.

Szeroki mir dokoła...
Pogrążon w niepamięci
Głębokiej świat nie nęci
Nie woła

I tylko w onej głuszy,
Wspomnienie w piersi wzdycha,
I miłość senna cicha
Tli w duszy.

Ada Negri
(przekład) Maryi Konopnickiej.

KWIAT PAPROCI

BAJKA

ZNICZA.

Przez zbitą masę krzaków leśnego ustronia przedzierało się kilka promieni słońca, które rzuciło złotą plamę na mchy drzemiące w cieniu drzewa, rozjaśniło ciemność wśród małych traw i roślin, a roje drobnych elfów, duchy wszystkich kwiatów i liści rozpoczęły wesołą gwarę. Swobodnie im było, lekko i radośnie, gdyż promień słońca ze snu ich zbudził, a wiadomo jest każdemu, że ten promień lśniący i złoty przynosi z sobą zawsze tylko uśmiechy do szczęścia, drżenia wesołości i pragnienie życia.

Po tej nitce słonecznej i błyszczącej, spłynął do leśnego ustronia wspaniały duch róży, najdumiejszy z pomiędzy wszystkich elfów i witał się ze swoją młodszą bracią; usiadł na złotym promieniu i pogawędka szła dalej w najlepsze. Duch róży wypytywał się o różne leśne plotki, wydarzenia i tajemnice w zamian za co opowiadał o nadzwyczajnościach cieplarnianych, ludzkich pomysłach i fantazyach, powolnej śmierci swych kwiatów, zerwanych dla ustrojenia pięknych ścian pałacu, stołu biesiadników, czy też świętego obrazu albo włosów młodej dziewczyny. Przy każdym szczególe kraśniał z radości najpiękniejszą swoją barwą, gdyż przypominały mu się liczne tryumfy, jak zachwycano się urodą jego kwiatu, kształtem i odcieniami, rozkoszowano się zapachem odurzającym, nazywano królową kwiatów, przyrównywając go do najpiękniejszych istot rodzaju ludzkiego.

Naraz, głębokie westchnienie przerwało opowiadanie ducha róży. Smutne było, wypłynęło z najciemniejszego zakątka, z pomiędzy mchów i liści zeszłorocznych.

— Kto to wzdycha? — spytał duch róż, nachylając się ciekawie.

— Nie przerywaj sobie, mów dalej. Lubię słuchać, kiedy opowiadasz te piękne historye, — ozwał się głos jakiegoś niewidzialnego elfa — tylko mi się smutno bardzo zrobiło, kiedym twój los z moim porównał. Mną się nikt nie zachwyca, ani rozkoszuje, nikt mnie nawet widzieć nie chce, choć często nieraz koło mnie przechodzi i dotyka.

— Kimże jesteś?

— Kwiatem paproci.

Duch róży zaczął przyglądać się ciekawie nieznanemu sobie dotąd elfowi.

Początkowo nie mógł go prawie dostrzedz wśród traw i liści, ale wreszcie zauważył nikłą postać, przeźroczystą i nieuchwytną, rozpływającą się i w cieniach i w promieniach światła. Ale w miarę, gdy się przyglądał odkrywał w tym dziwnym duchu, coraz to nowe i cudne uroki: Ciało jego utkane było z barw tęczy, suknie mieniły się drogiemi kamieniami, a oczy miał czyste jak krople rosy i odbijało się w nich całe przestworze. Skoro duch róży w przeciwną stronę na chwilę oczy odwrócił, znowu później nie mógł ropoznać i dopatrzeć małego elfa, dopiero stopniowo i powoli rozpoznawał jego uro-

ki. Tylko napatrzywszy mu się do woli, spostrzegł, że w każdym promieniu jasności, żywej barwie, w fali zapachu i ożywczym powiewie letniego wiatru, znajduje się jego tysiączne odbicie. Zdziwił się temu bardzo, gdyż nie wiedział, że duch kwiatu paproci jest zarazem geniuszem szczęścia i że obraz jego widocznym jest zwykle w każdym objawie życia i natury, który w sercach ludzkich rozbudza radość i wesele.

— Dlaczego się smucisz? Przecież najpiękniejszy jesteś między nami, największe masz klejnoty i bogactwa. Jeżeli cię człowiek znajdzie, mnie zdepcze, a tobie postawi ołtarze.

— Nie znajdzie, choć ciągle szuka. Przechodzi koło mnie, depcze, zrywa dzikie badyle, myśląc, że to kwiat paproci. Posłuchaj: opowiem ci niektóre szczegóły z mojego życia. Przekonasz się, że prawdę mówię.

Na promieniu słońca, obok elfa róży, usiadł elf paproci i tak prawił:

— Wy wszyscy szczęśliwi jesteście, gdyż nie tu, to gdzieindziej, zawsze macie swoje kwiaty, możecie się rozkoszować życiem i bujać wśród ludzi. Ale ja, mam

tylko raz na rok jeden, jedyny kwiat, który zaledwie kilka chwil istnieje. Ludzie go wtedy szukają po całym świecie, chodzą za nim po różnych skałach i urwiskach, ręce do niego wyciągają, błagają by zabłysnął, ale nie znajdują. On tymczasem więdnie powoli, niknie i kończy swój żywot krótkotrwały.

Po długich latach takich zawodów ogarnęła mnie wielka tęsknota za tem aby mnie ktoś wreszcie podjął, do piersi przycisnął, ożywił ciepłym oddechem i życie przedłużył. Powiedziałem sobie: sam się oddam w moc człowieka, u stóp jego złożę wszystkie moje skarby, wszystko szczęście.

Skoro nadeszła noc świętojańska i kwiat mój rozwinął swe listki, upatrywałem człowieka, któremubym się ofiarował i przyniósł szczęście... Dużo ich się wkoło mnie uwijało, wszyscy mnie szukali, niejeden tuż przechodził, i dotykał nawet, ale szedł dalej. Nie chciałem dawać szczęścia tym, którzy go szukali z czołem dumnem i wyzywającem, jakby im się to szczęście należało z praw i dziedzictwa, ale upatrzyłem sobie skromnego i biednego pastuszka, który stał na uboczu:

nie szukał nawet kwiatu paproci, gdyż nie przypuszczał, że go znajdzie. Idąc koło mnie, zaczepił swoim chodakiem o moją łodyżkę i oderwał. Ja też korzystając z tej sposobności, wsunąłem się daleko w ten jego chodak z silnem postanowieniem nieopuszczania mojej kryjówki.

Pastuszek ani przypuszczał, że nosi mnie przy sobie, i nie wiedział czemu wszystko się wkoło niego odmieniło, i świat, i życie. A ja najpierw z serca jego i myśli wypędziłem różne szare mgły tęsknicy nieokreślonej, niepewności i trwogi przed życiem; pierwszy raz w tę noc świętojańską odczuł i zrozumiał, że życie może być pięknem, mieć uśmiechy szczęścia i radości, a natura to źródło czarów, której skarby każdy może czerpać pełną dłonią. Później, stada jego wszystkie i dobytek prowadziłem na najżyźniejsze pola i łąki, plon jego znów obfitszy był niż u innych, nieszczęścia i troski odsuwałem od jego głowy, a najlżejsze, nieuniknione chmurki szybko rozdmuchiwałem w niepamięci. Serca ludzkie lgnęły do niego i otwierały się jak kwiaty promieniom słońca, dziewczęta słały za nim myśli i westchnienia, a on zgarniał pełną dło-

nią powodzenie i miłość ludzką. Ale ponieważ był człowiekiem, więc mu się zdawało, że to co ma, nie jest jeszcze prawdziwem szczęściem, postanowił go szukać za górami, u obcych ludzi. Pozbył się małego skrawka ojcowizny, i ruszył w świat, a odchodząc zostawił za sobą dawny strój wieśniaczy, i chodaki, w których przebywałem. Pozostałem więc razem z jego wspomnieniami, przeszłością, tradycyą ojców i tem, co powinien był miłować, z jego szczęściem, które on porzucał lekkomyślnie. Zdawało mi się czasem że później, wśród powiewów wiatrów jesiennych, rozróżniam jego smutne westchnienia tęsknoty za tem co porzucił, ale niczem nie mogłem ukoić tego żalu, gdyż w księgach losy powiedziane, że kwiat szczęścia raz tylko zakwita w życiu człowieka.

— Czemu nie oddałeś się jakiemuś człowiekowi więcej ukształconemu — rzekł duch róży — ten pastuszek nie mógł rozumieć swego szczęścia.

— Różnie bywało. Kiedyindziej znów spuściłem się na kaprysy wiatru. Pozwoliłem mu unieść się na jego skrzydłach, rzucał mnie jakiś czas w różne strony,

nareszcie zaplątał we włosy młodej dziewczyny. Szczęśliwy byłem z takiego losu, przypuszczałem, że młode i wrażliwe serce odrazu zrozumie mnie i odczuje. To też nie szczędziłem jej żadnych moich skarbów, otoczyłem blaskiem urody i bogactwa, uprzedzałem wszystkie pragnienia i marzenia, myśli jej kołysałem wśród snów najpiękniejszych, ze światła i tęczy, a śladem jej spojrzeń rozniecałem gorące uczucia. Chciałem wreszcie dać jej największe szczęście, jakie było w mojej skarbnicy. Drogę jej życia zbliżyłem do drugiej duszy jej pokrewnej, młodzieńca, w którego sercu złożyłem cudny dyament szczerego uczcia. Ale moja wybranka nie dostrzegła tego dyamentu. Zapatrzyła się w inne uczucie, które ją zwabiło szmerem swoich lekkich skrzydeł motylich i sztuczną barwą. Skrzydła te były nadzwyczaj filigranowe, unosił je każdy najlżejszy powiew wiatru, a moja piękna dziewczyna robiła napróżno wysiłki rozpaczliwe, barwnych skrzydeł nie mogła pochwycić w swoje dłonie.

I w pogoni tej oddaliła się od tego szlaku, na którym leżał cenny dyament, wreszcie stała się dla niego zupełnie nie-

widzialną, a tamto nikłe uczucie wciąż przed nią uciekało. Skoro widziała, że już nie uchwyci tego, co jej się szczęściem wydawało, chciała posłać za niem jakieś swoje wspomnienie, pamiątkę. Odcięła więc zwój włosów, w którym byłem zaplątany. Ze zwojem tym uleciały w dal wszystkie jej myśli, marzenia i nadzieje, całe jej szczęście i spokój serca.

Włosy wiatr rozwiał w różne strony, a ja znalazłem się na ziemi, znów odtrącony i zapomniany.

— To była płocha dziewczyna — przerwał znowu duch róży z pogardliwem wzruszeniem ramion — trzeba się oddawać tylko takim ludziom, którzy byliby godni swego szczęścia. Słuchaj, przyjacielu, poprobuj teraz innej drogi, zwiąż twój los z moim losem i razem odbądźmy pielgrzymkę między ludźmi. Są wśród nich podobno tacy, których dusze piękniejsze są od dusz całego tłumu, gdyż kiedy je Bóg stwarza, to każde z dobrych elfów, geniusz wszystkich kwiatów i woni, cudnych ustroni i barw czystych przynoszą im w ofierze jedno swoje westchnienie serdeczne, i składają na dnie serca. Ludzie tacy nazywają się poetami. Przy

takim człowieku będziesz się czuł jak w swojej krainie, bo czyż kraina piękna nie jest przybytkiem szczęścia, którego jesteś wyobrażeniem? Z moich kwiatów poetom tym wieńce splatają, kładą je na ich skroniach, albo rzucają pod stopy, skryj jeden kwiatek paproci między listkami róży i szukajmy poety, aby go zrobić szczęśliwym.

Duch róży wziął w swe objęcia małego elfa i ulecieli.

Rozgądali się po różnych stronach świata wreszcie, wsunęli się na dno róży przeznaczonej do wieńca poety. Niedługo czekali. Wieniec splotła jakaś życzliwa ręka i ofiarowała wieszczowi nieznanemu. Lecz skoro tylko na skroni jego znalazła się róża z ukrytym w niej kwiatkiem paproci na czoło tego spłynęła wspaniała gwiazda wielkiego natchnienia. Więcej miała blasków aniżeli dyadem monarchy i więcej miała potęgi, gdyż promienie jej nietylko rozsyłały jasność i światło, ale grały na ludzkich sercach, jak na strunach arfy harmonijnej, wywoływały łzy i uczucia serdeczne. Zachwyt, sława i powodzenie kładły się pod jego stopy, niczego nie potrzebował pożądać, życie jego było pię-

knym poematem. Ale jednego dnia ujrzał górę złota wyrzuconego z wnętrza ziemi i przyszła mu myśl zdradziecko:

— To złoto byłoby dla mnie dopiero prawdziwem szczęściem, możnaby kupić sobie za nie szał życia i użycia

Zbliżył się do niego zaraz właściciel tej góry i umówili swoje warunki. Każdy z nich dawał masę złota, ale żądał w zamian choćby jednego promienia, pyłku ze wspaniałej gwiazdy geniuszu błyszczącej nad czołem wieszcza. Jeden chciał ustroić weń swoją próżność i pyszałkowatość, drugi, rozjaśnić wspomnienie ciemnych postępków, inny chciał nakryć kał życiowy, do którego wabił lekkomyślnych. Poeta zaś zadowolnić chciał wszystkie ujemne strony i słabostki posiadaczy złotej góry, zdjął więc z nad czoła swojego uroczą gwiazdę natchnienia, rozkruszał ją na atomy i obdzielał niemi kupców złotodajnych. Nie zauważył jednak wcale, że skoro ją zdejmował, zleciał na ziemię jego kwiat szczęścia, kwiat paproci. Pozostał mu na skroniach tylko wieniec z róż, a gdy ten wieniec do skroni przycisnął, kolce róży boleśnie zakłuły go i zostawiły

ślad krwawy, gdyż kwiat paproci zdala już był i nie chronił od bólu i niepowodzenia.

Tymczasem duch owego kwiatu popowrócił znowu w leśne ustronie, mówiąc do ducha róży, że temu teraz tylko odda szczęście i skarby, kto go sam znajdzie. Wtedy tylko będzie prawdziwie upragnionym, drogim i zrozumianym, gdyż inaczej, skoro szczęście samo staje obok ludzi to go nie widzą, a ręce wyciągają za marą i ułudą. I niewiadomo, teraz gdzie się skrył. Może go ktoś w tym roku znajdzie, a może już znalazł, tylko się z tem nie zdradza, gdyż prawdziwe szczęście nie lubi oczu natrętów.

WIECZOREM.

Słońce we mgłach zapadło. Na polu górale
Wiążą snopki. Wieczorny dym leci nad chaty
Od niknącej powoli słonecznej poświaty
Liliowieją ogromne gór i niebios dale.

Gdzieś tam, w głębi Tatr, puste, mroźne drzemią
[chale,
Liliowych wierchów jerzy się grzebień zębaty;
Nad niem biały obłok, jak łabędź skrzydlaty;
Konający na długiej, złotej słońca strzale.

Z ognisk pasterskich bije dym i blask czerwony;
Rzędami postawione ciemne kopy siana
Zdają się, jakby widma idące w zagony.

A słońce gdzieś pod ziemią idzie, aby zrana
Świecić tu znów, gdzie zgasło — i wieczysta
[trwania
Straszliwa obojętność z gwiazd się wyotchłania.

Kazimierz Przerwa — Tetmajer.

Kocham je wszystkie...

Kocham je wszystkie: blondynki, brunetki.
Byleby młode i byleby hoże
Stałe, zalotne, poważne, kokietki. —
Byle nie gąski — broń mię, Panie Boże!

Wyznawca piękna, artysta w kobiecie
Ostatnie widzę przyrodzenia słowo,
A że ideał rzadkim jest w komplecie,
W każdej więc pięknej wielbię go czę-
[ściowo.
Ta ma wzrok taki, co do duszy gada,
Uśmiech tej znowu wdzięku mieści wiele,
W tamtej — kędzierów nęci mnie kaskada.

Srogich krytyków spytać się ośmielę,
Czy małowidłem wzgardzą Van—Ostada
Z tej li przyczyny, że są Rafaele?

Chamiec.

BUKIET KAMELIJ.

Przestańcie panowie, bo się źle bawicie —
Dla was to jest igraszką, nam idzie o życie.

Panno Maryo! proszę złożyć robotę i pójść za tym człowiekiem; zdaje się, że pomoc panny potrzebną będzie przy włożeniu sukni.

Na to wezwanie powstaje młode i wysmukłe dziewczę i składa na okrągłym stole trzymaną w ręku robotę. Milcząc, zdejmuje z kołka swój wytarty płaszczyk i gotuje się do wyjścia.

Koleżanki spoglądają na nią z zazdrością.

Taka piękna sposobność rzadko się przytrafia. Szczęśliwa ta Marya, idzie do

bogatej pani, zobaczy salony, dostanie może guldena, a może dwa.

I ciche szepty przebiegają w powietrzu, zazdrosne spojrzenia przeszywają wątłą postać wychodzącego dziewczęcia. Ona jednak zdaje się być obojętną na doznane szczęście — twarz jej nie wzruszona jak marmury, blada jak gładka wód powierzchnia. Ze schyloną głową wychodzi z pracowni pełnej gwaru robotnic i turkotu maszyn.

Na ulicy hałas i wrzawa nieokreślona. Nic dziwnego! Dziś wigilia Nowego Roku. Za kilka godzin tajemniczo uśmiechnięte dziecię strąci swą różową nóżką w grób przeszłości zgrzybiałego starca, który zstępuje do swej mogiły obarczony łzami biedaków i uśmiechem bogaczów. Setki ludzi uwija się po ulicy. Potrącają się, popychają nawzajem. Każdemu ciasno, śpieszno, a przedewszystkiem zimno. Oj, bo zimna ta noc grudniowa! Rozpostarła swój mroźny płaszcz brylantami gwiazd przetykany, lodowym swym uściskiem pszenika w głąb człowieka. Mimo to miryady gwiazd płoną nie wydając światła. Lśnią się i migocą jak oczy kokietki. Wystawy sklepowe nęcą tłumy kobiet jaskrawemi

barwy, które zdają się przelewać z poza gładkich jasnych szyb. Fale tarlatanu łączą się ze zwojami atłasu. Z góry biegnie gazowa kaskada, a na jej łonie toną pęki piór strusich i sztucznych kwiatów wiązanki. Kobiety stoją i patrzą... patrzą długo — potem z westchnieniem odchodzą, kryjąc zasmucone twarzyczki w puszyste futrzane kołnierze. Taka to już natura nas kobiet. Widok gałganka, którego posiąść nam nie można, ściska nam serce niewypowiedzianym smutkiem.

Wszystkieśmy jednakowe!

A przecież nie jednakowe. Biedna szwaczka idąca w tej chwili wśród krążącego tłumu nie staje przed wystawami sklepów, nie smuci jej widok srebrnej gazy.

Jakże blada i smutna ta drobna twarzyczka przy świetle latarni. Wielkie czarne oczy patrzą przed siebie łzawo, sieroco. Postać wątła, drobna, otulona wytartym płaszczykiem, dąży szybko wśród ciepło ubranych i wesołych kobiet. Śpieszy się — wie, że i tak spóźniono robotę; suknia balowa, suknia wykończona na balu Sylwestrowski! suknia dla pani Henryki, tej czarującej brunetki, która z szelestem jedwabiów i wonią fijołków wbiega do

pracowni pytając o żurnale. Suknia ta — to istne cacko, pomysł niezmiernie oryginalny, trzy zęby w trenie — coś, co zrobi sensacyę i przewrót w krainie mody.

Szwaczka wie dobrze, jak wielka misya przypadła jej w udziale. Śpieszy się — ale nie ma siły. Ślizgawica straszna, konie padają jak muchy, ktoś podobno nogę złamał — ale to wyrobnik, więc się nie liczy. Marya co chwila potrącana przez przechodniów, chwieje się i potyka. Lokaj niosący suknie w pudełku, mruczy i gniewa się. Słusznie — on przecież zna służbę i wie, że jasna pani czekać nie lubi.

Marya biegnie coraz prędzej. Wełnianą chusteczką otuliła głowę. Delikatne ciemne włosy wiją się po białej skroni. Pomiędzy ciemnemi brwiami zarysowała się smutna zmarszczka, towarzyszka niedoli i nędzy. Ręce, drobne, małe rączęta pokłute igłą i zsiniałe od mrozu, wsunęła w kieszenie paltocika, pragnąc choć w ten sposób obronić się od zimna. Od chwili do chwili straszny kaszel wstrząsa nią całą — kaszel ten biegnie w przestworze jak skarga sieroca i kona zagłuszony turkotem karet wiozących modną damę, lub dorożki unoszącej ufryzowanego goga.

Nagle dziewczyna się zatrzymuje, a oczy jej patrzą nieruchomo na jednę z wystaw sklepowych. Oblane strugą gazu śmieją się żywe kwiaty, nęcące oczy przechodnia. Masy zieloności tworzą ścianę, poza którą dostrzedz jednak można, co się dzieje wewnątrz sklepu. Dziewczyna stoi wciąż i patrzy. Usta jej drżą od bezmiernego wzruszenia. Cóż ona jednak widzi tak niezwykłego? Czy tę palmę wysmukłą, wznoszącą swą królewską koronę? czy te równiankę fijołków, ciemną, niemal cmentarną? może wreszcie te przepyszne azalie przemówiły do tej młodej a przedwcześnie zwiędłej istoty? Może ten profil kupczyka z włosami cudownie rozdzielonemi z przodu? Ach nie — jest tam w sklepie ktoś, uśmiechnięty jak Apollo, ale Apollo ubrany w bobrowe futerko i białą jedwabną chusteczkę na szyi. Jakiż piękny! Ma błękitne oczy i ciemne włosy, które poprawia białą wypieszczoną ręką. Ciemny wąs zdobi koralowe usta. Bardzo, ale to bardzo piękny mężczyzna. Stoi przed kontuarem i trzyma w ręku bukiet kamelij. Cudowny bukiet! Na białem tle rzucona wiązanka purpurowych kwiatów czerwieni się, jak na białej twarzy mo-

łodycy czerwienią się ust korale. Piękny pan uśmiecha się, widocznie zadowolony — kupczyk kłania się nisko. Teraz pan bierze w rękę bukiet i z tajemniczym uśmieszkiem wsuwa między białe kwiaty maluchną karteczkę. Karteczka gładka, różowa jak płatek róży — poczem mówi jeszcze do nachylonego subjekta. Zapewne daje adres, podług którego bukiet ma być odniesiony. Subjekt zapisuje i zapewnia o natychmiastowem spełnieniu danego zlecenia. Uśmiechnięty pan wychodzi ze sklepu, nucąc walca z „Wesołej wojny.“ Nagle piosnka i uśmiech zamiera mu na ustach. Jakaś drobna zsiniała rączka dotknęła jego eleganckiego futra, jakiś drżący smutny głosik wymawia jego imię. W blasku gazowych latarni dostrzega dwoje ciemnych, smutnych źrenic, wpatrzonych w twarz jego ze łzawym wyrzutem. To biedna szwaczka szepce zbladłemi usty:

— To ty, Adamie? to ty!

Piękny Adam snać nierad z tego spotkania. Patrzy na dziewczynę nieprzychylnie, nawet z ukrytą złością. Nie mówi nic, ręka wszakże nerwowym ruchem poprawia jedwabny fular owinięty wkoło szyi.

— Tak dawno cię nie widziałam — mówi dalej dziewczyna, a słowa jej więzną w gardle, w oczach błyszczą łzy, a na twarz występują gorączkowe rumieńce.

Piękny pan czuje że coś odpowiedzieć musi.

— Mam tyle zajęcia... — zaczyna, ale urywa nagle, widząc bolesny uśmiech na twarzy dziewczyny.

Ona wie dobrze, jakie to zajęcie nie dozwala widywać jej więcej tego, którego tak gorąco kochała. Nie skarży się jednak, patrzy tylko błagalnie w błękitne oczy stojącego przed nią mężczyzny. Od dwóch miesięcy nie widziała go wcale, a tęskniła tak bardzo!

— Przyjdź do mnie dziś wieczorem — prosi, a głos jej drży i rwie się chwilowo. Ty wiesz... jestem sama na świecie... nie mam nikogo prócz ciebie; za kila godzin Nowy Rok... wszyscy przywitają go w rodzinnem kole.. bądź ty przynajmniej przy mnie... ja już tyle cierpiałam...

Piękny pan patrzy na nią i milczy. Podczas gdy jej serce rwie się w kawałki, on oblicza ubytek jej wdzięków — dziwi się zapadłym ustom. Jest-że to ta sama Marynia, którą odprowadzał przed kil-

koma miesiącami do domu? Świeża, rumiana, tulila się do jego ramienia, śmiejąc się wesoło. Wtedy co innego! wtedy pociągała urokiem rozkwitającej róży — dziś, czego chce ten szkielet kaszlący, zatrzymujący go na środku ulicy? Ona jednak nie zaprzestaje swej prośby.

— Przyjdź Adamie!... przyjdź jak dawniej... pamiętasz wtedy gdyś mnie nazywał... jedyną.

Młody człowiek niecierpliwi się. Zadługo trwa ta scena, trzeba ją zakończyć. Przyrzeka więc, że przyjdzie — o! przyjdzie z pewnością. Uśmiecha się i znika w tłumie. Marya chwilę patrzy za nim, potem udaje się w dalszą drogę. Ale jakaż szczęśliwa przemiana rozjaśnia czoło dziewczyny! Policzki płoną purpurowym rumieńcem, a oczy błyszczą fosforycznym blaskiem.

On przyjdzie!... przyjdzie!.. Cierpienie zapomniane! tęsknota uleciała! — dziewczę nie smuci się więcej, on przyjdzie!... przyjdzie niedługo.... Śpieszy się teraz, pragnie mieć skrzydła sokoła; niebo jaśniejsze i gwiazdy świetniej płoną!... Lu-

dzie ją popychają, ale ona nie czuje tego! Niedługo wszakże i ona będzie szczęśliwą..

*

* *

Fryzyer upina ostatni pukielek włosów, jeszcze parę tuzinów szpileczek zwanych „invisibles“ a arcydzieło kunsztu fryzyerskiego skończone. Pani Henryka przegląda się w lustrze z zadowoleniem. Trudno być piękniejszą! Tylko ta suknia!

Nie przynoszą jej do tej pory — godzina dziesiąta dawno wybiła. Nieznośna ta krawcowa!

Nie dlatego przecież, ażeby pani Henryce śpieszno było do sali balowej — ale radaby już zobaczyć, jak wygląda ta suknia z trzyzębowym trenem. Wśród bezsennej nocy piękna jej główka stworzyła ten tren trzyzębowy — niespokojna jest jaki efekt sprawi strój podobny. Fryzyer składa żelazka i z dyskretnym uśmiechem wysuwa się z pokoju Henryka zostaje sama i patrzy z zadowoleniem w stojące przed nią zwierciadło. Piękna to brunetka zdrowa, rumiana, pełna woni i blasku! Alabastrowe ramiona toną w puchu koro-

nek, pod delikatną skórą krąży siatka błękitnych żyłek, nozdrza poruszają się lekko. Wśród przepychu otoczenia, purpury aksamitnych portyer, marmurów í wschodnich miękkich dywanów, czaruje powabem odaliski, podnosząc dumnie strojną w hebanowe sploty głowę. Jest piękną i wie o tem.

Ta cudownie zarysowana głowa wykwita z białych ramion, jak kwiat lotusu z alabastrowej urny. Świece, płonące w kandelabrach, rzucają migotliwe blaski na profil jej twarzy, i tańcząc, ślizgają się po konturach szyi. Cacko — nie kobieta!...

Para ciemnych, sztucznie rozszerzonych źrenic patrzy wesoło, pogodnie i błyszczy zdrowiem, jasnem światłem.

Musi jej być wesoło, przyjemnie na świecie. Nagle otwierają się drzwi. Pstrokato ubrana, zwiędła i zasuszona panna ukazuje w nich głowę strojną w ponsowe kokardy.

— Jaśnie pani! suknia!

Zrywa się jasna pani, jak za dotknięciem iskry elektrycznej — niecierpliwość widnieje w jej całej postaci... Przez uchylone drzwi wsuwa się okazała postać lo-

kaja, który z wielkim szacunkiem stawia podłużne pudełko na ziemi. Za nim cicho, nieśmiało wchodzi Marya i staje przy drzwiach, patrząc z uwielbieniem na cudnie piękną, kobietę, tonącą w zwojach muślinu i koronek.

Panna służąca wyjmuje suknię. Okrzyk uwielbienia wyrywa się z piersi jasnej pani.

Ta suknia — to arcydzieło! nie, ta suknia — to marzenie! I piękna pani płonie niecierpliwością — chce się ubrać, ubrać jaknajprędzej i jechać, jechać na bal!

Jakże piękna teraz w tej iście królewskiej szacie! Olbrzymi tren szeleści tym miłym chrzęstem czystego jedwabiu. Żadna sonata nie brzmi tak pięknie, jak szelest jedwabnego trenu... Blada dziewczyna w wytartym paltociku przyklęka na ziemi i skostniałemi od zimna rękami przypina nieposłuszne fałdy, które nie chcą spadać klasyczną draperyą ku ziemi. I tak znajdują się obok siebie dwie kobiety, obie młode, obie piękne, obie stworzone do miłości i szczęścia. Nierównie jednak los rozdzielił swe uśmiechy pomiędzy dwie te istoty. Oto jedna pełna wdzięku i świeżości wznosi głowę, jak

rozkwitła kwiatów królowa — druga blada i zwiędła chyli się ku ziemi, jak polny kwiatek kosą ścięty. Wszakże biedna szwaczka nie zazdrości tej pięknej pani. Dziś ona równie szczęśliwa — widziała go, mówiła z nim! Za godzinę będzie w jego objęciu — powie mu ile wycierpiała, wyspowiada się, poskarży, zapomni o tych czarnych, zdala od niego spędzonych godzinach. Nagle suchy kaszel rozrywa jej piersi — kaszel ten dźwięczy w tej ciepłej wonnej komnacie, jak gość nieproszony. Razi wobec tej woni róż psuje harmonię — istny to dysonans w dobranym akordzie. Piękna pani obraca głowę.

— Czy dawno tak kaszle? — pyta, zapinając perły na białej szyi.

— Od dwóch miesięcy — odpowiada schylona u jej stóp dziewczyna.

— Czemuż się nie leczy? — pyta znów, przesypując lekko pudrem zbyt rumiane obliczki.

Dziewczyna wszakże nie odpowiada, uśmiecha się tylko boleśnie. Za 10 rubli miesięcznej płacy żyć, mieszkać, ubrać się! A ta piękna pani pyta: „czemu się nie leczy?“

Nagle drzwi się otwieraja i ta sama pstrokata panna służąca wsuwa się do pokoju i podchodzi do jasnej pani. Z układnym uśmiechem podaje bukiet złożony z białych kamelij z wiązanką purpurowych kwiatów. Henryka obojętnie sięga po konwalie, widocznie czekała na nie i pewną była ich przybycia. Panna służąca wychodzi i dwie kobiety znów pozostają same. Szwaczka wszakże podniosła głowę i płonącemi źrenicami przypatruje się bukietowi. Dwie plamy gorączkowe rysują się na jej policzkach. Ręka drży, rozsypując deszcz drobnych szpilek na białych falach jedwabnego trenu. Pani Henryka powoli, ruchem pieszczonej kotki porusza drobne paluszki po listkach białych kwiatów. Szuka czegoś. Znalazła!... Teraz nachylona czyta z uśmiechem maluchną różową karteczkę i kręci kształtną główką. Poczem wzrusza ramionami i wyciąga rękę wraz z kartką do płonącej świecy. Żółtawy ognik łączy się z miłosnym bilecikiem i tańczy po brzegach różowego papieru z jakąś ironiczną przekorą. Piękna pani rzuca na ziemię płonący bilecik i zaczyna wciągać długie białe rękawiczki.

W tej chwili szwaczka wyciąga rękę i chwyta palącą się ćwiartkę w drżące ze wzruszenia palce. Kryje ocalony papier w dłoni i wstaje zwolna z ziemi. Ubranie skończone, arcydzieło złożone z fal jedwabiu, obłoków welutyny, koronek i woni fijołków, a nazwane *kobietą*, może jechać na bal po berło i królewską koronę. Pani Henryka przegląda się raz jeszcze w lustrze, uśmiecha, pudruje, ściera puder i znów pudruje — nakoniec okrywa ramiona ciepłą zarzutką i kieruje się ku wyjściu. Nagle wzrok jej pada na stojacą na boku szwaczkę. Powraca i wyjmuje z szufladki szeleszczący papierek.

— Niech się zabawi — dodaje przez ukarminowane usta — niech się zabawi!

Tren znika z szelestem za purpurową portyerą. W salonie czeka na Henrykę druga lalka, nazwana przyjaciółką. Obie schodzą po dywanem wyłożonych wschodach, prowadząc we francuzkim języku głośną ożywioną rozmowę. Bukiet kamelij bielejący w dłoni Henryki dostarcza widocznie tematu, gdyż obie przypatrują się śnieżnym kwiatom, śmiejąc się i wzruszając ramionami. Białe kwiaty więdną pod wpływem tych słów mrożących lo-

dowatym chłodem ironii. Chylą swe płatki zawstydzone dziwnie jakoś. Widocznie rozumieją francuzki język i wiedzą znaczenie ironicznych słówek, rzucanych przez te dwie wonne damy, wsiadające do karety.

Równocześnie z bramy wybiega drobna postać niewieścia, otulona w wytarty płaszczyk i wełnianą chusteczkę. Przeciska się przez tłumy przechodniów i wydostaje na rynek. Tu staje pod jedną z latarni gazowych i opiera zmęczoną głowę o słupek żelazny. Po chwili podnosi do oczów zmięty różowy papier z nadpalonemi brzegami.

W bladawem świetle latarni czyta nieszczęśliwa dziewczyna następujące słowa:

„Jedyna! dziś na balu — przywitamy wesoło Rok Nowy! Do widzenia! Twój Adam.“

Jej Adam!...

Cichy, stłumiony jęk wydziera się z piersi dziewczyny. Nie omyliła się... poznała jego pismo. Ta piękna pani... odjeżdżając, rzuciła stary przedarty banknot i powiedziała: „niech się zabawi“ — niepomna, że żadna moneta, żadne skarby świata nie zdołają opłacić krzywdy, jaką

bezwiednie wyrządziła tej bladej, ziębniętej dziewczynie.

Teraz biedna szwaczka stoi naprzeciw oświetlonych okien ratusza i patrzy w te smugi światła, przedzierające się przez purpurowe zasłony.

Szeregi karet jadą bezustannie. Ufryzowane główki, bezmyślne twarzyczki mijają się w świetle latarni.

Dziewczyna patrzy załzawionemi oczyma i zsiniałą od zimna ręką zaciska kurczowo węzeł wełnianej chustki. Ona cierpi! cierpi bardzo, sama jedna, opuszczona wśród tego hałasu i gwaru. W piersiach ją pali jakiś odcień; zdaje się jej, że purpurowy blask okien balowej sali zranił ją i sprawia ból dotkliwy.

Nie wróci do domu!

Po co? tam zimno i smutno, a on nie przyjdzie... w tej chwili wita Rok Nowy!...

I biedna dziewczyna stoi tak długo, skamieniała z bolu, z zaciśniętemi wargami — bez łzy, bez jęku, bez skargi serdecznej. Dźwięk zegaru budzi ją z tego bolesnego odrętwienia.

Dwunasta!. .

Z ciemnych szafirów nieba zstępuje Nowy Rok, tajemniczy pełen tych samych trosk powszednich i rzadkich uśmiechów, łez, trumien, balowej muzyki i świeżych mogił. A mimo to ludzie z upragnieniem wyciągają ku niemu dłonie.

Figlarne pacholę jednak niesie ze sobą wszystkie cierpienia, kokieteryę kobiet, zdradę mężczyzn, skąpstwo bogaczy, pychę wyższych urzędników, nieuctwo i zarozumiałość recenzentów kuryerkowych — nic, nic mu nie brakuje. Ach! prawda! zapomniało wziąć ze sobą, trochę spokoju i miłości bliźniego. Spokój zgubiło na poblizkim cmentarzu. Miłość bliźniego zabrały mu szare siostry miłosierdzia i dotąd nie oddały. Szkoda! takby się ta miłość przydała w tym roku.

Dwunasta!...

W sali ratuszowej wśród świateł powodzi różnobarwne koło zatacza taneczne kręgi. Mazur! mazur z 40-u par kręci się, zwija jak olbrzymi czarny wąż, topazami, rubinami i turkusami przytykany. Pozłociste wachlarze chłodzą zarumienione twarzyczki, alabastrowe ręce wdzięcznym ruchem splatają się na czarnem tle fraków.

Wesoło!... bardzo wesoło!...

Na czele przoduje para młodych ludzi, zwracająca ogólną uwagę swym królewskim wdziękiem. Ona — strojna, czarnowłosa, oblana falami białego jedwabiu szeleści trójzębowym trenem; on — młody, elegancki, o ciemnych wąsikach, patrzy w nią z zachwytem i szepce do różowego ucha jakieś ciche słówka.

Tańcem i uśmiechem witają Rok Nowy w tej balowej sali pełnej woni i tanów mazura. Piękni, młodzi, bogaci... Cóż mogą jeszcze chcieć?...

Tymczasem na ulicy stoi ciągle blade dziewczę i patrzy w okna balowej sali. Dla niej Rok Nowy nie miał ani łzy, któraby jej ulgę w cierpieniu sprawiła.

Natomiast, widząc ją tak biedną, tak nieszczęśliwą, obiecuje Rok Nowy zawieść ją na ten pobliski cmentarz, gdzie niebacznie zgubił spokój wieczny. Da jej żółtą, świeżą mogiłę, a cmentarna brzoza szumem swym do snu ją ukołysze...

Będzie jej tam ciepło, cicho, spokojnie: wszak prawda, piękni panowie?...

Gabryela Śnieżko Zapolska

PROMIEŃ

Jako ptak z cyprysowej gałązki spłoszony
Niespodzianem wejrzeniem rannego promyka,
Tak me serce się wznosi, z radości odmyka,
Kiedy nań padnie światło od rodzinnej strony.

Z tym zwiastunnym promieniem ma dusza pomyka,
Niby pył wirem światła do góry niesiony;
Zda się pędzić, choć cisza, z wiatrami w przegony,
I pod domową strzechę pokryjomu wnika.

Tu porzuć mnie, promieniu, tu rozstań się ze mną,
Na cyprys mnie nie odnoś; tam tak tęskno, ciemno,
Sierotą byłem w życiu, ach, błagam cię oto.

Niech przynajmniej po zgonie nie będę sierotą.
Pozwól, ach, pozwól zgasnąć, gdzie młodość przeżyłem
Paść cicho na grób ojców niewidomym pyłem.

Stanisław Koźmian.

GDZIE SPOJRZYSZ – PIĘKNOŚĆ

Gdzie spojrzysz — piękność, wszystko podług planów
Narysowane, pomyślane pierwej,
Mury i wieże, i te długie przerwy,
Pozasadzane drzewami platanów.

Owdzie kolumna, indziej posąg w niszy,
Kościół z marmuru, przed którym dzwonnica,
Piękna, jak anioł, a prosta, jak świeca,
Wytrysk ze śniegu na niebieskiej ciszy.

Historya rodu na drzwiach jednej bramy
Wydłutowana owemi litery,
Co skrzydła mają, a okryte w lamy...

I czemuż, jakby w inne wniesion sfery,
Straszliwą pustkę widzę poza łzami
I w proch rozpadłe świata bohatery?

Teofil Lenartowicz.

Wśród ciemnych świerków jest kapliczka [z drewna,
Mała kapliczka w podgórskiej ustroni.
Tam, jak cudowna z legendy królewna,
Przyszła, uklękła i śliczną twarz w dłoni
Ukryła klęcząc. Było rano. Świeże
Srebrzyły rosy gałęzie i trawę.
Daleko góry błyszczały jak wieże
W szafirze nieba ciemne i złotawe.
Przez drzewa słońce przeświecało z boku
Pękami jasno — różanych promieni,
Lub do złotego podobne potoku,
Lało się z gąszczu po zimnej zieleni.
Rzeźwy szedł powiew od gór. W tej kaplicy
Półmrocznej, światłem rozwidnionej słońca
I blaskiem smutnej w ołtarzu gromnicy:
Ona, ze skronią na dłoniach, klęcząca,
Duszą wzniesiona w niezmierne niebiosy,

Wydała mi się snem, widzeniem, zjawą...
I nigdy tego rana nie zapomnę,
Tych gór w przestworzu świecących złotawo,
Jak piramidy i gmachy ogromne,
I jej klęczącej i tej świeżej rosy.

Kazimierz Przerwa Tetmajer.

Zgaszone gwiazdy

(ze szkiców piórem).

Przysunęła się do niego bliżej, swoję płową główkę, zdobną w długie kędziory, oparła o jego ramię i słuchała.

W pokoju było ich tylko dwoje; duży, biały pies rozłożony przy kominku, wygrzewał się na rozłożonej skórze niedźwiedziej.

Na biurku stały w mosiężnym lichtarzu dwie świece zapalone pod zielonym daszkiem i rzucały krąg światła na rozrzucone książki i papiery, fotografie w bronzowych ramkach, miniatur na kości słoniowej, duży kałamarz i zegar w stylu empire.

Od powały zwieszała się lampa, rodzaj dużej ampułki zamkniętej w niebieskim kloszu i matowe, łagodne światło rozlewała w przestrzeni buduaru na ściany zawieszone obrazami i sztychami, na meble ciężkie, skórą obite, na szafy pełne książek, zdobne w posążki i biusty, połyskujące z lekka czerwonemi błyskami, które rzucał na nie żar węgli na kominku.

Przyciszony, jakby zlekka drżący chwilami głos czytającego mężczyzny, przerywał jednostajną ciszę wieczoru ; pochylony nad biurkiem, trzymał w jednej ręce kartki listu, o pożółkłych nieco brzegach, drugą obejmował jasnowłosą dziewczynkę, która na niego swe duże, rozumne oczy z miłością i zajęciem podnosiła od czasu do czasu.

Nie odrywając wzroku od pisma, czytał dalej :

... Ja ci wszystkiego, kochana mamo, chyba tak dokładnie opisać nie potrafię, jakbym tego z całej duszy pragnął, chociaż mam zamiar nie opuścić żadnego szczegółu i żadnego słówka tej cudownej wigilii, którą tu w domu dziadzi spędziłem.

Żebym już umiał dobrze malować, posłałbym dla ciebie i dla papy wszystko to w samych obrazkach, jak je mam ciągle przed oczyma i jak je chyba do końca życia widzieć będę.

Ten długi pokój z belkonowym pułapem, ze starą, poczerniałą boażeryą przy ścianach; w którym ty, droga mamo, podobno jeszcze dzieckiem małem biegałaś najchętniej z nianką dokoła stołu dębowego, gorzał cały od świateł; przy tym samym stole rozsuniętym na wszystkie blaty, zasłanym, świeżym siankiem, nakrytym bieluchnym, jak śnieg obrusem, uginiającym się od starych sreber babci, od świeczników bronzowych — przy tym stole siedziało nas ze dwadzieścia osób.

Nawet starego Kulczyckiego z oficyny przyniesiono jak co rok, na wilią w fotelu z jego oficynki, bo dziadzio swojego dawnego rezydenta i gracyalistę chce mieć w każde wielkie święto przy stole.

W granatowej kapocie, w białym halsztuku z fatermerderami, wygolony, jak jaki ksiądz proboszcz, z ogromnemi niebieskiemi okularami na nosie, siedział cały czas milczący, jak mumia i tylko głowę

zwracał w stronę każdej osoby, która się odzywała.

Babunia miała swą popielatą, morową suknię i czepiec koronkowy ze wstążkami; zupełnie mi przypominała swój portret, który wisi w sypialni mamy, tylko twarz miała bardziej uroczystą.

Pan Figowski, który tu ze mną przyjechał na święta, powiada, że mama bardzo jest do babci podobna, bo mamę pamięta z czasów, gdy w Polkowie był guwernerem.

Ale ja nie o tem wszystkiem chciałem mówić; odbiegam ciągle od przedmiotu, bo mi się tyle myśli naraz tłoczy do głowy, i tyle twarzy przesuwa przed oczyma i tyle rzeczy na pamięć ciśnie.

Otóż, jak ci droga mamo wspominałem, cała nasza rodzina ze strony dziadzi i babci, oprócz ciebie moja jedyna, moja biedna chora mateczko i kochanego papy, który pojechał odwiedzić cię w Meran, była przy wigilii zgromadzoną.

Dzieci także siedziały z nami przy stole, aż do tego najmniejszego drobiazgu, który ciocia Helenka z sobą przywiozła. Nie uwierzyłabyś, jak zawsze młodo wy-

ględa, zupełnie jakby była moją, nie twoją siostrą! . . .

Z początku, kiedyśmy się łamali opłatkiem z dziadziem i babcią, nastrój był jakiś poważny i niemal smutny; wszystkim nam łzy świeciły w oczach. Wspominali często ciebie, droga mamo i zwracali się do mnie z wielkiem współczuciem i życzliwością dla mamy.

„Biedna Olesia!...“ — powtarzał dziadzio z westchnieniem — „jak jej tam tęskno będzie pośród obcych przez święta“.

Wszyscy kazali cię pozdrowić i mają pisać do ciebie. Byłem tak ujęty tą serdecznością, że ucałowałem ręce wszystkim ciotkom i wujaszkom, a o tobie myślałem cały czas przy stole.

Siedziałem obok wujanki Gracyanowej, która nosi zawsze nioby i mitynków z rąk nie zdejmuje; jest jeszcze bardziej ceremonialną, niż dawniej i nie chce mnie nazywać Bolesiem, tylko daje mi tytuł „kawalera“. Powiada, że znacznie wyrosłem i że wkrótce będę miał wąsy.

Moja mateczko, czy ja ci się podobam kiedyś z wąsiskami, jak miotły?... Będę je naciągał, jak stary Gumowski,

tutejszy leśniczy i zakręcał, aż za ucho, dobrze?...

Żebyś wiedziała, droga mamo, jak mnie tu wszyscy lubią i dogadzać się starają, miałabyś dla serca swojego wielką pociechę i radość, a zawsze łączą nas razem! „Synem Olesi‘ mnie najczęściej nazywają. Służba cała od kredencarza i chłopca stajennego w ogień by za mną skoczyła.

Poczciwy Tomasz, który podczas wilji obnosił półmiski z mojej strony, pokazywał mi najlepsze kawałki i szeptał:

„Niech panicz tego weźmie, to karp na szaro, bardzo dobry“, albo „podam jeszcze szczupaka z białym sosem... trzeba jeść, ryba nie syci, do Pasterki będzie panicz głodny“.

Ani mi w myśli było jedzenie; spoglądałem tylko na babcię najczęściej, bo mi ciebie przypominała i to mi jakąś smutną przyjemność sprawiało.

Wśród gwaru ogólnej rozmowy, gdy podano stary miód i dziaduś wzniósł toast za pomyślność naszą, wszyscy powstali i znowu się kieliszkami trącać i ściskać zaczęli: tylko jeden Kulczycki siedział na końcu stołu sztywny, jak te snopy

zboże, ustawione w czterech kątach jadalni: biedaczysko poruszyć się nie mógł na swoich sparaliżowanych nogach. Było mu widocznie przykro, że nie może wziąć udziału w ogólnym toaście, ale dziadzio podszedł sam do niego i trącił się z nim, podając staruszkowi rękę ze słowami: „No, panie Antoni, jakoś to będzie. Daj Boże zdrowie i wytrwanie“ ... A potem, wrócił na swoje miejsce i zaczął opowiadać nam wszystkim jedną przygodę ze swej młodości, którą Kulczycki pamiętał dobrze.

Czyś ty to także kiedy słyszała moja mamo z ust dziadzia, o tej śnieżycy i zbłądzeniu w polkowskim borze?... To okropne! Wszystkim nam ciarki przechodziły po grzbiecie.

Dziaduś był wtedy podobno zapalonym myśliwym i raz na ponowę wybrał się ze starym gajowym do lasu. Przestrzegali go, żeby nie szedł, bo mrozy brały i śniegi spadły kopiaste. Nie usłuchał i omal życiem tego nie przypłacił.

W borze zaskoczyła ich śnieżyca i stropiła z właściwej drogi, musieli błądzić, a śnieg dużemi płatami fruwał w całem powietrzu i kręcił się im w oczach i mi-

gał na wsze strony, jakby ich oślepić chciał i zasypać żywcem w samą wigilię Bożego Narodzenia.

Słuchaliśmy z zapartym oddechem tego opowiadania; jak wiesz, umie tak malowniczo i plastycznie wszystko przedstawić.

Zdawało mi się, że z nim razem brnę po kolana w świeżym śniegu puszystym i skrzypiącym wsród tej strasznej głuszy leśnej i że mi nad głową wyrastają te białe widma w coraz większych kopicach i bermycach białych, w które się każde drzewo na ich drodze zmieniało.

Śnieg walił a oni przedzierali się przez niego na oślep, z wytężeniem wszystkich sił, coraz śpieszniej, aby umknąć z groźnej napaści i niebezpieczeństwa.

W powietrzu podobno było tak cicho na całe szczęście ich, że niemal słyszeli każde skrzypnięcie gałęzi uginanych ciężarem śniegu zmarzniętego na drzewach. W tem nagle rozległ się w borze trzask okrutny, jeden, drugi, trzeci i jakby jakieś straszne westchnienia konających wielkoludów... To całe drzewa i konary przygniecione ciężarem śniegu i lodu za-

częły się łamać i z jękiem takim, przejmującym grozą, padać na ziemię.

Stary gajowy na ten odgłos się zatrzymał i z przerażeniem szepnął do dziadzi: „Sądny dzień!... zginiemy paniczu, drzewa się walą!...“ Włosy im obu z przerażenia stanęły na głowie; bali się kroku postąpić dalej, bo nie wiedzieli, gdzie na nich czycha niebezpieczeństwo; jeżeli śnieg nie zagrzebie, to gałąź jaka ubije, lub skręcony pień spadnie na nich i powali jak uderzeniem maczugi znienacka.

Uciszyło się znowu trochę na chwilę i otucha w nich wstąpiła. Gajowy zdjął czapkę, przeżegnał się i powiedział: „Nikt, tylko Pan Bóg sam nas uratuje z tej zasadzki. W Imie Ojca i Syna i Ducha świętego. Amen... Niech będzie Imie Jego pochwalone!“.

A potem począł drżącym głosem śpiewać: „Kto się w opiekę poda Panu swemu...“ i iść naprzód, nie dbając o nic więcej, ani o śnieg fruwający, jak białe ćmy dookoła, ani o pochylone groźnie drzewa, które jakby się po drodze zamierzały na nich, ani na mróz — szedł z gołą głową i śpiewał nabożną pieśń, gotowy

umrzeć nawet, jeżeli to będzie z wolą nieba.

Dziadzio szedł za nim i wtórował mu swoim głosem, a ilekroć z której strony rozległ się znów ów groźny trzask i łomot spadających brył śniegu, tyle razy głośniej intonowali swoją pieśń, aby ich prędzej Pan Bóg w górze usłyszał.

Ach, moja droga, jakaż to straszna musiała być chwila!...

Przepraszam cię mateczko moja, że na dzisiaj przerwę to pisanie, bo prawdę powiedziawszy, znużyłem się i oczy mi się kleją; dawno już po północy. Jutro z samego rana wezmę się do dokończenia tego listu.

Dobranoc mateczko moja! ... do jutra!...

. . . .

Mężczyzna przestał na chwilę czytać, ręka mu drżała, ostatnie wyrazy wymówił jakimś rzewnym miękkim głosem, jak gdyby w nim zabrzmiały echa nigdy nie głuchnących uczuć w synowskiem sercu i spojrzał na miniaturę młodej kobiety o delikatnych rysach, białej, przeźroczystej cerze i dużych ciemnych oczach pod kruczą krwią.

Dziewczynka tuląca się do jego boku, podniosła ku ni emu swą płową główkę i pochwyciwszy to tęskne spojrzenie, spytała:

— Ojczulku, czy babcia jest tu podobną na tej miniaturze?... Zawsze mi się taka mizerna i cierpiąca wydawała. Jaka szkoda, żem ja jej już znać nie mogła!... Takbym ją chciała choć raz ucałować!.. Musiała być bardzo dobrą dla ciebie i dla wszystkich prawda?...

Uśmiechnął się z westchnieniem i przyciskając swe usta do główki dziewczątka, odrzekł:

— Prawda Jaguchno — prawda, byłabyś ją bardzo kochała!

— O ja ją i tak kocham, chociaż ją znam tylko z portretu tak, jak nieboszkę mamę.

Objęła go rączętami za szyję i ucałowała gorąco szepcąc: Tyś mi jedyny, mój tatek najdroższy; tyś moją mamą i babcią i wszystkim razem. - No, czytajmy dalej ojczulku — dodała żywo — czytajmy!... To takie dziwne i takie ciekawe dla mnie. Czy ty także tak długo będziesz chował moje listy, które do ciebie pisywałam z pensyi?... zapewne nie, bo

ja tak mało i tak źle pisuję, ale zobaczysz na przyszłość, zobaczysz. No, i co dalej?...

Przechyliła główkę, jak ptaszek i szczebiotała:

— Ojczulek był lepszym synem ode mnie?... Ach, jakbym ja chciała była razem z ojczulkiem żyć wtedy u Pradziadków w Polkowie, czuję jakby mi tam dobrze i rozkosznie było. Nie byłabym tak samą, jak teraz.

Twarz mężczyzny spochmurniała na chwilę, przegarnął włosy, przesunął dłonią po oczach i wziął napowrót żółkły papier do pęki.

. . . .

„Dzień dobry Mamo! spełniam wczorajszą obietnicę i piszę dalej.

Dziadzio swoje opowiadanie zakończył śliczną sentencyą o ufności w Bogu i własne siły, a kiedy to mówił, miał taki natchniony wyraz twarzy, że mi jego siwa głowa o bujnych włosach i gęsta broda, jak ze srebra, przypomniała jakiegoś apostoła, którego widziałem kiedyś na tym starym obrazie w naszej katedrze.

Była chwila, droga mamo, w której mi się wydało, że mam widzenie na jawie i że u boku dziadzi zjawił się nagle anioł

z białemi skrzydłami, który zleciał z niebios, aby dać świadectwo jego słowom.

I cóż powiesz, ten anioł stał tam rzeczewiście, za jego krzesłem, żywy, piękny, prawdziwy anioł w białej szacie połyskującej złotemi gwiazdami, ze skrzydłami u ramion, z wianuszkiem na głowie i ze złożonemi, jak do modlitwy rękoma.

Tak coś pięknego i uroczego wyobrazić sobie nie mogłem.

Myślałem, że to widzenie zniknie i odleci tak cicho, jak przyleciało i że oprócz mnie nikt więcej go nie zauważy, ale w tem wśród ciszy zasłuchania, jak skowronek nieśmiałym głosem moje zjawisko zaśpiewało: G l o r i a, g l o r i a i n e x e l s i s D e o!...

Ta niespodzianka wszystkich poruszyła, a najbardziej mnie i dziadzię, odwrócił się szybko i ze zdziwieniem patrzał na ślicznego anioła, nie mogąc w nim odrazu rozpoznać Hani Borzymowskiej, wiesz, tej smukłej blondyneczki, którą wujanka Gracyanowa trzymała do chrztu?... Ona to z jej matką i ciocią Helenką umyśliły tę niespodziankę dla dziadzi i dla dzieci i przebrały Hanię za anioła, który przyszedł zwiastować nam

dobrą wieść i zaprosić do choinki z podarkami, zastawionej w dużym salonie, przytykającym do stołowego.

Na dany znak otwarły się drzwi do salonu i zobaczyliśmy nie choinę, ale cały świerk błyszczący w światełkach różnokolorowych, obwieszony mnóstwem paczek i zawiniątków, złoconych orzechów, owoców i cacek przeróżnych.

Porwaliśmy się wszyscy od stołu za przykładem dziadzi i babci, tylko znów biedny Kulczycki ze zdziwioną i zakłopotaną miną sam został w swoim fotelu i jak małe dziecko powtarzał żałośnie prawie z płaczem: „No, a ja?... a ja?..."

Zatoczyliśmy go z Tomaszem bliżej drzwi, aby się mógł napatrzyć i nacieszyć tym ślicznym widokiem razem z nami.

Anioł Hania stanęła pod choiną, trzymając za rączki najmniejsze boba cioci Helenki i zaczęła śpiewać kolendę: „W żłobie leży", a myśmy wszyscy wtórowali chórem. Pan Figowski, usiadł do klawikordu i akompaniował akordami, jak organista.

Powiadam Ci droga mamo, że mi się serce tak tłukło, jak gdybym... jak gdybym, no nie wiem co powiedzieć, ale,

jak gdybym zalazł do nieba między same anioły i z niemi razem kolędował.

Wyciągałem tak głośno, że aż wujanka Gracyanowa zwróciła na to uwagę i powiedziała do mnie: „Kawaler będzie miał zdrowe płuca, chwała Bogu!...“ A ja sobie przypomniałem zaraz Twoje biedne, chore piersi i żałowałem, że Ci nie mogę moich płuc chociaż połowy odstąpić.

Nie wiem czemu przestałem nagle śpiewać i smutno mi się zrobiło; dopiero anielska Hania, widząc to, żem posmutniał, podeszła do mnie sama i przyniosła mi — zgadnij co?... Duże pudło ze wszystkimi przyborami do malowania. Cel moich upragnionych marzeń!... Przyrzekłem jej, że skoro tylko lepiej się poduczę malować, zrobię koniecznie jej portret, ale tylko w tym anielskim stroju, z temi skrzydłami łabędziemi, wśród których jej główka tak cudownie wyglądała, że mi się drugą noc śniła.

„Niech Boleś tego nie mówi — powiedziała mi — bo to grzech by był pozować na anioła, kiedy się jest tylko człowiekiem“.

Czy to grzech?... Mnie się zdaje,

że nie, bo piękny człowiek i dobry człowiek już jest tu na ziemi aniołem, zanim mu skrzydła dadzą tam, gdzieś za światami. Ja wiem, żeś ty, moja najdroższa, jest aniołem z pewnością i że cię kiedyś będę widział z takiemi samemi skrzydłami z jakiemi malują Serafów i Cherubów wśród chwały bożej i jakie nosiła Hania Borzymowska na wigilii u dziadków.

Czyś ty tylko naprawdę zdrowsza?... i naprawdę mniej kaszlesz, teraz, niż w domu?... Odpisz mi zaraz i donieś, czyś zadowolona z mojego opisu wigilii, a ja tymczasem zacznę do ciebie drugi list, jeszcze dłuższy od tego, jeżeli cię nie znudzi!

Całuję Cię w każdy Twój paluszek i ściskam najczulej, jako kochający i wdzięczny jedynak.

Bolesław.

. . . .

Głos czytającego umilkł a oczy zaszły mu mgłą; spojrzał na dużą fotografię młodej kobiety, stojącą obok miniatury na biurku i głęboki smutek osiadł na twarzy jego i dzieweczki.

Przytuleni do siebie siedzieli cicho nad odczytanym listem z przed lat tylu,

ojciec z córką, jednakiem uczuciem przejęci i rozmyślali o dwóch aniołach, które gdzieś za światami na srebrnych skrzydłach ważą się wśród chwały bożej i spoglądają na nich z wysoka oczyma pełnemi miłości i tęsknoty.

— Mateczka musiała być śliczną wtedy, jako aniołek? — spytało dziewczątko po długiej chwili milczenia.

A mężczyzna ocknął się z zadumy, twarz mu się rozjaśniła błogością, spojrzał w głębokie oczy dziewczęcia i odrzekł:

Jesteś całkiem do niej podobna, moje dziecko!...

I znowu opuścił głowę zadumaną, w której przeciągały wspomnienia, jak pogaszone gwiazdy po przestworzu przeszłości...

Maryan Gawalewicz.

PIEŚŃ „SOKOŁÓW."

Hej, Sokole! rozwiń skrzydła,
Wzrok wytężaj na przestworza;
Zerwij pęta, zerwij sidła,
Leć, gdzie jasna świeci zorza.
Ponad gór wyniosłych szczyt:
Tam wolności błyśnie świt.

Choć nam ziemię granicami
Prują wrogi i krew sączą,
Lecz Sokoły z Sokołami
Z wszystkich dzielnic się połączą.
Nad chmury puścim się w lot,
Tam niczyj nie sięgnie grot.

Naszem hasłem miłość bratnia,
W piersiach rześkość i otucha,
Dla ojczyzny: krew ostatnia,
W każdym czynie: wzniosłość ducha,
Z orląt nasz wywodzim ród,
Gniazdem: podwawelski gród.

Gdy nam w gniazdo przemknie zdrada,
Dzikich sępów wpadną zgraje,
Niech Sokołów dzielnych stada
Zapędzą je w stepów kraje.
Gdzie szakal, hyena, dzicz,
Tam boży nie tleje znicz.

Adam Staszczyk.

ŁÓDŹ.

Języków ludzkich słuchałam do syta,
Do tchu utraty, do zawrotu głowy;
Oto łódź moja, od brzegu odbita:
O morze, twojej pożądam dziś mowy!
Niechże mnie teraz cisza twoja wita,
Zapomnianemi w świata wrzawie słowy,
Niechaj bezbrzeżnym błękitem nakryta,
W głos się twój wsłucham i w szept twój echowy.
Mówże ty ze mną teraz pacierz stary —
Dzieciństwa mego i porannej wiary —
Pacierz pól moich, gdzie dzwoni łan żyta...
Mówże ty ze mną milczeniem zadumy
I takim szumem, jak mych borów szumy —
Oto łódź moja od brzegu odbita!

Marja Konopnicka.

Nad program.

— Ty-żeś to?

— A no ja. Cóż w tem tak osobliwego?

— Widocznie, skorom nie wierzył karcie hotelowej i zaryzykowałem wyrzucenie za drzwi, byle się na miejscu o tożsamości przekonać... Cóż to, na karnawał się wybrałeś? Zapalasz pochodnie hymenu?

— Ja? Także gadanie! Kto ją raz w życiu zapalił, po to tylko, żeby z chorą żoną objechać wszystkie *bady*, kto ją, pomimo to, stracił, został z dwojgiem dzieci i gwoli ich wychowaniu ma teraz w domu dwie ciotki, bratowę i siostrę niezamężną, ten, mój kochany, nietylko nie zapala, ale pogasił-by wszel-

kie pochodnie, w których kobiety biorą współudział...

— Pyszna tyrada! To mi jednak nie wyjaśnia, co porabiasz w mieście podczas karnawału.

— Co mi do karnawału?! Naznaczyli mię przysięgłym na tutejszą kadencyą z Iwanem Hrybkiem, Mikitą Seredniaczkiem i podobnymi im jedenastoma. Siedzę od tygodnia po dniach całych w sądzie i za kolegów muszę sluchać, bo biedakom głowy popuchły od natężenia i... śpią, a gdy ich gromki głos prosi o zdanie, odpowiadają z chwalebną zgodnością: „Jak pan Bychowski, tak i my". W rezultacie, korzystając z tego wpływu, mszczę się na złodziejach, podpalaczach i koniokradach, choć pośrednio za swoję krzywdę.

— To dobre! Więc to ty wydajesz wyroki? Winszuję. Słyszałem wczoraj mimochodem, że przysięgli uwolnili jakąś mężobójczynię...

— Bo rzetelnie niewinna.

— Winszuję raz jeszcze. Skłóciłem się dzisiaj o to z moją narzeczoną, która...

— Toś się zaręczył?

— Po to karnawał. W Maju ślub.

— Z kim-że to?

— Ano, naturalnie, z Józią Wojakowską.

— Naturalnie! Ostrzegałem cię oddawna.

— Ostrzegałeś, a sam się bawiłeś!

— Ja? Człowieku, opamiętaj się! Ja, w którego domu, z powodu kobiet, nigdy nie zamykają świątyni Janusa?

— Co to ma do rzeczy? Jedna więcej może ją zamknie. Pamiętasz małą Myszkę Wojakowską? Miałeś do niej sentymencik...

— Temu lat pięć, gdy miała trzynaście i lubiła cukierki. Czarna, mała Myszka! Przecież nie sądzisz, żebym, starając się o żonę, myślał o kim innym.

— Trzynastoletnim, notabene! Wierzę, ale teraz warto, żebyś zobaczył swoją mysz o pięć lat starszą, a moję Józię z turkusem na rączce!

— Bawią tutaj?

— Ano, pewnie. Każdy, choć raz w rok, chce zrzucić pleśń i troski, i karnawałuje.

— Ze mnie bierz przykład, że się bez tego doskonale obejść można. Od pięciu lat, od wesela, nie bawiłem się nigdy.

— To też widać po tobie. Pleśni masz skorupę na trzy cale, a troski nabawiły cię mizantropii. Dwa lata jakiem cię stracił z oczu, a ledwiem poznał.

— Przez te dwa lata byłem gospodarzem, to jest doznałem suszy i powodzi, gradu i

księgosuszu, nie mówiąc o pomniejszych. Dzieci przechodziły odry i szkarlatyny, a no... i mam cztery kobiety w domu. A tymczasem ty...

— Ja mój drogi, jestem naczelnikiem dystansu i pobieram siedm tysięcy rubli pensyi.

— Ciekawym, za co? Jesteście, jak t ptaszki ewangeliczne, co nie sieją i nie żn. i dalibóg nie wiem, jak was cierpi na ziemi Ojciec Przedwieczny za wasze podmyte planty, poprzewracane mosty i t. p. tej pracy owoce!

— U mnie się nic podobnego, jak żywo, nie wydarzyło. A ty, choć twej miłej kasty zrzędzisz i narzekasz, słyszałem, że ci idzie jak płatka.

— Aha, z płatka! Możeś słyszał, że mam proces o akcyzę... o głupstwo: o trzy tysiące rubli tylko.

— O fe! To zaczyna być poważne. Cóżeś tam zfiglował?

— Nic. Gorzelnia szła wedle wszelkich prawideł, wszystko było nowe, całe i opieczętowane. Gdy wtem, ni stąd, ni z owąd, koło talerzy zaczęło przeciekać. Nawet nie przeciekać, lecz kapać po kropelce. Tak sobie cichutko: kap, kap, kap i koniec. W głowie mi właśnie było jakieś tam marne kapanie! Żeby choć lunęło urzędownie, to bym może zameldował, ale takie kapanie!... Tymczasem paf!

niedoszłego samobójcy, na wzmiankę tę podniósł głowę i poruszył ustami, jakby lada chwila miał się uśmiechnąć.

— Trzeba się ubrać! — rzekł już weselej.

— A jakże! Przywdziej swoje sędziowskie szatki i marsz! Karnawał nie czeka na nas, ale znika, a okrężny może zginąć.

Obywatel się porwal jak oparzony i po chwili schodzili już na dół, obydwaj wyświeżeni.

We drzwiach restauracyi inżynier coś szepnął służącemu, tonem stałego kundmana zamówił kolacyą, minął główną salę i wprowadził dawnego kolegę do mniejszej, gdzie zaczął się witać, śmiać, rozmawiać, rozbijać, jak szara gęś po niebie.

— Kaziu! — szepnął obywatel oszołomiony — ty naprawdę zdobyleś sobie nie lada stosunki i sławę.

— To jeszcze nic. Poczekaj: steruję na prezesa i twego prześladowcę. Moje uszanowanie panom!

Prezes i okrężny powstawali z ugrzecznieniem i po ogólnem przedstawieniu, ukłonach, suwaniu krzeseł, inżynier nawę swą umieścił naprzeciw towarzyszów i rozpoczęła się gawędka.

Chłopak był, jak skra żywy i dowcipny. Towarzystwo zrazu rozproszone, powoli ściągnęło się do jednego stołu. Rozmowa stała się ogólną, dość wolną, najeżoną konceptami; chochlik karnawału ogarniał najstarszych, rozmarszczał nawet wątrobianą twarz okrężnego.

Prezes uśmiechał się wygolonemi usty, całe grono wybuchało od czasu do czasu grzmiącym śmiechem, a amfitryon plótł, jak Piekarski na mękach. Jeden obywatel milczał.

— Stach! ty śpisz? — mruknął mu kolega.

— Jeść chcę.

— To jedz.

— Otruję się.

— Et, głupstwo!

— Pan ze wsi pewnie? — zagadnął okrężny, dosłyszawszy.

— A tak. W interesie przyjechałem.

— Na pognębienie ludzi złej woli... — wtrącił prezes. — Winszuję panu wpływu na włościan.

— Aha! — rzekł okrężny, gładząc brodę — a ja winszuję wpływu na kobiety. Moja żona chodziła na sprawę tej mężobójczyni i chce panu zrobić owacyę!

— Wyznam, że słabość dla płci pięknej za daleko nas trochę uniosła... — uśmiechnął

się prezes. — Pan pewnie działał pod wpływem pięknych oczu, których tyle było na sali.

— Uchowaj Boże. Ten człowiek ją bił...

— Wielka awantura! — lekceważąco machnął ręką okrężny.

— Wypędzał ją na mróz, pastwił się nad dzieckiem, głodził, zmuszał do kradzieży, kazał żebrać...

— Umarły zawsze winien; ale nasze panie tonęły we łzach nad niedolą tej kryminalistki, więc sprawa skończona!

— Jak panowie w karnawał możecie mówić o mordach? Ja proponuję weselszą rzecz — zawołał inżynier, mrugając na lokaja.

— Sprawiedliwość nie zna feryi... — rzekł prezes.

— Ja jednak zaręczam prezesowi, że tu obecny wpływowy przysięgły jutro z musu urządzi sobie wakacye.

— Będzie to bardzo przykre dla mnie i dla jego kieszeni.

— A jeśli i prezesa nie będzie?

— Eh, to niemożebne.

— Wszystko możebne w karnawał. Czołem przed tobą, przybytku wesołości i zapomnienia!

Wstał i ukłonił się uroczyście przed ol-

brzymią srebrną wazą, którą właśnie umieszczono przed nim.

— Poważna osoba! — zauważył okrężny.

— A to specyalista! Dalej Stach! do dzieła!

Obywatel uśmiechnął się i powstał.

Po chwili błękitnawy płomyk ukoronował szczyt wazy, w gorejący płyn poczęły padać z trzaskiem i sykiem krople spalonego cukru.

— Czy tak było w twojej gorzelni? — zaśmiał się inżynier.

— Pan pędzi wódkę? — zajął się okrężny.

— Uprawia ten proceder. Ma nawet proces i akt, bo tam coś ciekło.

— Ciekło? — to ważna rzecz! A gdzie ciekło?

— Nie ciekło... kapało tylko. Klnę się na dzieci, że kapało... na godzinę kropelka... koło talerzy.

— To ważne miejsce. A dlaczego kapało?

Zkąd ja, panie łaskawy, mogę wiedzieć? Bogu ducha jestem winien. Jak grzechu śmiertelnego boję się wszystkiego, co kapie nie w miejscu. Ta gorzelnia to zmora moich nocy, bo oprócz codziennej straty, mam codzienną troskę. Żyda nie trzymam, sam się morduję, superata niewielka, koszt okropny, a

teraz na dobitkę mam trzy tysiące rubli do tego procederu dołożyć. I za co? za te kropelki. Mówię panu, nie zebrało by się tego nawet na kieliszek.

Inżynier napełnił płonącym płynem kieliszki.

— Zdrowie karnawału! — wniósł.

Zadźwięczało szkło radośnie. Okrężny otarł wąsy, poprawił się na krześle.

— Że pan żyda nie trzyma, to się wam chwali — zawyrokował z powagą Minosa.

— Ten poncz przypomina mi studenckie czasy! — rzekł prezes. — I pan tam pewnie kunsztu się tego nauczył.

— Słuchałem prawa.

A gdzie?

W stolicy

— Ha, to i ja tam pana poprzedziłem o lat dwadzieścia. Czemuż pan prawnikiem nie został?

— Zatrzymała mię w domu gospodarka i obowiązki.

-- Zdrowie pana prezesa! — zagrzmiał inżynier.

Znowu szkło uderzyło wesoły akordzik, a okrężny, poprawiwszy się na krześle, spytał:

— Jakże się zowie pański majątek?

— Bychowa.

— Aha słyszałem. Trzy tysiące rubli za wiele.

— Zdrowie okrężnego!

Obywatel poczerwieniał, jak burak, a urzędnik ukłonił się wkoło i, siadając, dodał powoli:

— O kapaniu nawet niema paragrafu. Jak ciecze — seryozna rzecz; jak kapie — pies się nawet nie obliże!

— Właściwie mam prawo odwleczenia posiedzeń na dzień jeden — ozwał się prezes. — Brak jeszcze świadków.

— Stu trzydziestu siedmiu, to stanowczo za mało! — wmieszał się inżynier.

— Prokurator mię dzisiaj na wieczór prosił. Powiada, że i on nie gotów.

— Mój kolega chory, panie prezesie!

— Chory może nie zasiadać. Byle miał świadectwo.

— Zdrowie całego towarzystwa!

— Drugą wazę! — zawołał obywatel.

Oczy mu błyszczały, a na lica wszystkich zebranych występowały rumieńce i szerokie uśmiechy.

Upał rósł w sali, a z czupryn poczynało na dobre się kurzyć. Zdrowia szły jedne po drugich, coraz hałaśliwsze. Za dymem cygar i parą ponczu twarze prawie znikały, przybierały pozór widziadeł.

Inżynier trącił kolegę.

— Pijanyś? — spytał.

— Tak, trochę.

— W sam raz zatem. Możemy się wynosić.

— Jakto? Obrażą się.

— Ba, a kto? Żaden już nic nie widzi dobrze, a raczej widzą podwójnie. Wyniesiemy się pojedyńczo.

— Ale gdzie?

— Zobaczysz. Chodźmy!

To mówiąc, inżynier dał nurka w mgłę, utonął w niej, wynurzył się koło drzwi. Obywatel, trochę chwiejnie, szedł za nim jednak. Wydostali się na ulicę. Za nimi w sali restauracyjnej wrzało, jak w kotle.

— A co? Kara umorzona, a prezes miękki, jak rękawiczka. Możem nie dyplomata? Słuchaj mnie, synu, a wyjdziesz na ludzi. Teraz zaprowadzę cię do Wojakowskich.

— Człowieku! mnie w głowie się kręci!

— Będziesz dobrze tańczył.

Poszli, wspierając się wzajemnie, ulicą jasną od oświetlonych okien, gwarną od rozbawionego tłumu i muzyki. Chłód ich orzeźwił. Inżyniera owładnęła fala czułości.

— Żebyś ty wiedział, jak ja kocham moję Józię! — zagail, wznosząc oczy ku niebu

i potykając się w skutek tego na chropowatych kamieniach. — Żebyś ty wiedział, jaka ona śliczniutka, milutka!... Tam do licha... leżę! Trzymaj Stachu!

— Patrzaj-bo pod nogi!

— Nie chcę! Kiedy o Józi myślę, do gwiazd się wydzieram. Żebyś wiedział, jak ona ślicznie spoglądać umie! jak się pieści! a jak całuje! Padajcie na kolana! Mówię ci, pojęcia nie masz!

— Przecież i ja żonę miałem.

— Jaką tam żonę! Chorowitą i blondynkę. To, mój kochany, pigment limfatyczny. Żebyś ty wiedział, co to brunetka! jakie to żywe, wesołe, kapryśne a pieszczotliwe! Mówię ci, delicye! Jak się będziesz drugi raz żenił, bierz brunetkę. Pamiętaj, podziękujesz mi za radę!

— Niech mię Bóg strzeże! Słyszałeś, że mam cztery kobiety w domu.

— To nic... weź piątą. Weź posłuchaj mię!

— Gdzie idziesz! nie trafisz!

— Ja nie idę, ja lecę i swojej Józi. Co to? leżę?!

— Daj za wygraną na dzisiaj odwiedzinom, a połóż się spać. Obrazisz narzeczoną!

— To nic! Ujrzawszy ją, upoję się miłością, a otrzeźwieję z ponczu. *Probatum est.* Obiecałem ci tańce, smaczną kolacyą, piramidalną zabawę. Jestem człowiekiem honoru i słowa... Tutaj! na lewo; nie... na prawo. Otóż bo prostu i basta.

— Kaziu, bywaj zdrów! Nie myślę się kompromitować w twojem towarzystwie. Człowieku! co o tobie pomyśli narzeczona! Opamiętaj się!

— Ja jeszcze odkąd żyję, nie skompromitowałem mężczyzny. A żem wypił trochę za wiele ponczu, to twoja wina. Tak powiem Józi!

— Mocno ci jestem obowiązany — i wracam.

— Otóż nie. Obiecałeś mię słuchać i będziesz. Hę! Co to? Brama! dalibóg, jej brama!

Uchwycił towarzysza za rękę i wciągnął go do sieni prawie przemocą, a stamtąd na oświecone, wysłane dywanem schody.

Idąc, potykał się, i począł na dobitkę nieprzystojności podśpiewywać z operetki:

Ach, jakże mi też serce drży!
Ach, słabo, słabo, słabo mi!

Obywatelowi istotnie ze strachu i przykrości robiło się słabo.

— Czyś oszalał? cicho bądź! — perswadował.

— Nie oszalałem, ale jestem zakochany, więc mi wszystko wolno. Kto nie jest zakochany, ten osieł i będzie miał ze mną do czynienia! Aha, dzwonek u drzwi mego raju! Dźwięcz, serduszko!

W mieszkaniu panował ruch i muzyka. Tańczono już. Po chwili drzwi się otwarły i wchodzący ujrzeli przed sobą osóbkę drobną i szczupłą, z rumieńcem ożywienia na twarzy, z oczętami błyszczącemi, jak dyamenty, z pod gęstej, kruczo czarnej grzywki.

Usta jej wiśniowe rozchyliły się swawolnym uśmiechem i białe ząbki błysnęły z pośród tych ślicznych purpurowych usteczek.

— Ach, to pan! Przeczuwałam i skoczyłam z pierwszą burą. Druga będzie od Józi, trzecia od mamy, czwarta znowu od Józi. To ładnie tak się spóźniać!

— Niech się panna Myszka nie gniewa, bo przyprowadziłem z sobą wielką osobistość.

Dziewczynka tupnęła nogą.

— Co to za Myszka! Kto panu pozwolił tak mnie nazywać? Bardzo proszę! Kogo pan przyprowadził?

— Aha, ciekawość przeważa inne uczucia! Ktoś to jest bardzo przez pannę Myszkę kochany.

— Nieprawda! Nikogo nie kocham!

— Nieprawda! Bardzo kochany! Stach! poprzyj mnie!

Inżynier odsłonił towarzysza, i wciągając go do środka, zaprezentował.

— Nie żenujcie się, moje dzieci. Przed pięciu laty widywałem, jak panna Myszka skakała ci na szyję i wołała cukierków.

Panna Myszka, zaskoczona z nienacka, zarumieniła się aż po włosy. Oblały się żywą krwią jej policzki, uszy, szyja cała, odkryta w balowej sukience. Oczęta zaświeciły podwójnym blaskiem, a takie rozradowanie biło z oblicza, że zdawało się, iż, zapomniawszy o minionych latach, poskoczy, jak dawniej, z dziecinną swawolą w ramiona przyjaciela.

— To pan! to pan! — zawołała, i powstrzymując się przez wzgląd na długą suknię, wyciągnęła do niego tylko ruchem serdecznym obie ręce, pokryte aż za łokcie rękawiczkami, ozdobione złotym wężykiem.

— Jaki pan dobry, że przyszedł! zawołała szczerze.

— Otoż masz! A jam, co go przyprowadził, nie dobry! — wtrącił inżynier.

— Nie zapomniała mnie pani? — spytał Stanisław, ściskając podane rączki i przyglądając się powabnemu stworzeniu z uśmiechem.

To przyjęcie, tak szczerze serdeczne i swobodne było mu niewymownie przyjemnem.

— Ej, nie! — odparła Myszka otwarcie, — patrząc mu w oczy śmiało i głęboko swemi migającemi oczkami. — Tak pana pamiętam, jak nikogo.

— Panna Myszka się oświadcza! — wybuchnął śmiechem inżynier. — Wynoszę się, by wam nie przeszkadzać.

Dziewczynka opamiętała się i skoczyła, jak spłoszona sarna do drzwi, w głąb mieszkania.

— Ostro idzie! a i ty, wbrew zaklęciom, bierzesz się nie żartem do przewracania oczu! Ho, ho, wyglądasz mi na wilka w skórze jagnięcia! — śmiał się inżynier.

— Czyś się jeszcze nie wytrzeźwił? Byłby jednak wielki czas dać za wygraną niesmacznym konceptom.

— Czemu to, duszko, takim obywatelsko nestorowym tonem nie rozmawiasz z tą rusałką? Mądryś! Zobaczymy, kto gorzej wyjdzie ztąd pijany!

— Czy nie wejdziemy do salonu?

— I owszem. Jesteśmy!

Dziesiątek par wirowało w walcu, gdy wkroczyli do tego przybytku, i ostrożnie lawirując, dotarli do pani domu, która dobrotliwie

pogroziła palcem przyszłemu zięciowi, a na widok obywatela powitała go bezmiernem zdziwieniem.

— Ależ to niespodzianka! — zawołała uprzejmie. — Tyle lat nie widziałam pana!

Usiadł na opróżnionem krzesełku pod ścianą i po chwili zatonął cały w długiej opowieści.

Starsze panie otoczyły go wieńcem i słuchały z zajęciem historyi choroby żony, kłopotów, ciągle zmienianych kuracyi, groźnych symptomatów, zakończonych wreszcie katastrofą.

Każda dorzucała pytanie, cytowała podobne wypadki, ganiła lekarstwa, narzekała na doktorów, dawała spóźnione rady; ubolewały wszystkie chórem. Skazane na całonocną drzemiącą bezczynność i nudy, rozbudziły się i ożywiły, uszczęśliwione z powolnego słuchacza. On się nie wyrywał do młodzieży i tańca. Oczy jego o spojrzeniu spokojnem i smutnem prześlizgiwały się obojętnie po rozbawionej rzeszy, wesołe tone muzyki nie rozchmurzały poważnego czoła.

Znać było, że, pomimo lat młodych, człowieka tego życie przybiło do ziemi, że domowe może zawcześnie zwalone na barki obowiązki i nieszczęścia, starły wszelką swobodę i ży-

wość, a samotność obecna odstręczyła od ludzi.

Trochę pochylony, obracając w ręku kapelusz, opowiadał kobietom o biedach rozmaitych i sierotach swoich w domu, z którego śmierć, daremnie zwalczana, zabrała matkę i gospodynią.

Nie zauważył, że między jego krzesłem a ścianą przesunęła się drobna osóbka, oparła się o poręcz siedzenia matki i słuchała, przez nikogo nie spostrzeżona, z minką bardzo zamyśloną i przejętą. Dopiero gdy skończył, i słuchając ogólnej kondolencyi, podniósł machinalnie oczy, spostrzegł utkwione w siebie te niewielkie, ale świetnie szlifowane brylanciki, i usłyszał dyskretny szept:

— Czemu pan nie tańczy?

Uśmiechnął się mimowoli

— Za starym już na to. Zapomniałem.

— Ej, to szkoda. Dawniej pan mnie uczył polki. Czemuż pan postarzał, a ja nie?

— Mógłbym być prawie pani ojcem.

— Ach, fe! Niech Bóg broni.

— Czemu? — zaśmiał się powstając.

— Ej, bo do czegoby to było podobne! Zanic bym nie chciała.

— Ale dlaczego? Pieściłbym panią, zaręczam.

— Alboż to tylko ojciec pieści? Józia mi mówiła...

Urwała i wachlarzem zakryła usta i twarz nagle spłonioną, potem swoim obyczajem pierzchła, spłoszona swą własną nieuwagą.

Jak biały motyl, zgrabna i lekka, przefrunęła salę, zawirowała w przeciwległych drzwiach i znikła. Obywatel usiadł znowu, i przerwana na chwilę rozmowa miała się dalej rozwijać, gdy zaczerwieniony, zakłopotany, wypadł z tłumu inżynier.

— Chodź, Stachu, — szepnął — Józia chce cię widzieć. Tam odpoczywa w gabinecie. Gniewała się na mnie przez cały kadryl i mazur, ale jakoś w walcu otrzymałem przebaczenie. Nie zupełnie jeszcze, ale w polce mam nadzieję odzyskać resztę łask. Tymczasem ty szepnij słów parę za mną. To nie zaszkodzi.

— Widzę z przyjemnością, żeś wytrzeźwiał.

— Ale, od pierwszego jej spojrzenia, ze strachu.

Weszli do gabinetu, gdzie młodzież, rozsypana dowolnie, odpoczywała, gwarząc i chichocząc.

Biała sukienka Myszki migała od grupy do grupy, a srebrny jej śmiech brzmiał swawolną kaskadą.

Obywatel, po obowiązkowych powitaniach i komplementach, pozostał koło narzeczonej przyjaciela.

— Zdawało mi się, żem pana poznała na ulicy — rzekła panna Józefa — ale oczom nie śmiałam wierzyć. Więc to pan oswobodził tę nieszczęsną kobietę? Drżałam, czytając sprawozdanie z sądów, i wyczytawszy uwolnienie, zachwycona byłam tryumfem słabej.

— Ładna mi słabość, co morduje męża!— zaprzeczył ze śmiechem inżynier.

— Niby mężczyzna nie stokroć ciężej morduje moralnie! — odparła narzeczona z wymownem spojrzeniem, pod adresem swego przyszłego tyrana.

— Albo to prawda! — zadźwięczał swawolny głos Myszki. — Józia mi onegdaj mówiła, że mieć narzeczonego, to najwyższe szczęście i radość. Cóż dopiero męża!

— Myszko! — upomniała zgorszona siostra, a inżynier, składając głęboki ukłon, dodał sentencyonalnie:

— Bóg przemawia przez usta maluczkich!

— Jakto maluczkich? Jestem ogromna i zaraz pana przerosnę.

Panna Myszka jeszcze rośnie. Dzieciaczek!

— Jak mi pan będzie mówił inpertynencye, to ja także powiem głośno, co było

wczoraj o szarej godzinie, jak mama chodziła do kościoła.

— Panno Myszko! Myszko! — zaprotestowali narzeczeni jednogłośnie, z widoczną trwogą

Ale w tem na ich ratunek, w samę porę, muzyka uderzyła pierwszy takt

Dziewczynka zwróciła twarz i uwagę na skoczne tony, podniosła się na palce, przechyliła główkę, jak ptaszę i nasłuchiwała.

Potem podskoczyła, klaskając rękoma.

Polka! polka! Moja ulubiona, najśliczniejsza. *Le premier baiser!*

Vous en êtes au deuxième? — spytał narzeczony. Czy to przeczucie, czy doświadczenie mówi przez usta pani?

— Dowiedziałam się od Józi! — zemściła się bez namysłu.

— Niebezpiecznie mieć panią za powiernicę! — wtrącił obywatel, ubawiony pomieszaniem osób interesowanych.

— Wcale nie. Umiem milczeć, jak grób; ale gdy mi dokuczają, nie chcę być dłużną. Ach, polka! już tańczą!

Narzeczeni zemknęli pod pretekstem tańca i gabinet był pusty. Dziewczynka obejrzała się wkoło.

— Wszyscy poszli... To dobrze. Poproszę

pana o coś, a jak pan odmówi, to nikt nie posłyszy. Umarłabym inaczej ze wstydu.

— O co chodzi! Jestem na usługi.

— Ej, pan doprawdy okropnie się zmienił. Taki nudny i poważny! Nie rozumiem, dlaczego poznałam tak od razu. Ja zostałam taka sama? Nie prawdaż?

— O, bynajmniej. Wyrosła pani, wypiękniała...

— Ej, fe! To nie, ale spoważniałam.

— Tego dotąd nie dostrzegłem.

— Żeby pan potańczył ze mną, to zarazby się przekonał.

— O powadze?

— A tak. Tańczę majestatycznie teraz!

— Chciałbym wierzyć, ale... to trudno.

— Niech pan sprobuje.

— A jak nie potrafię pani poprowadzić i zmylę tempo?

— To nic, ja pana poprowadzę.

— Majestatycznie?

— Ależ nie inaczej.

— Służę pani zatem.

Znowu przez sekundę takim radosnym blaskiem strzeliły oczęta dziewczynki, jakby, zapominając pięciu lat przeszłych, miała mu ochotę skoczyć w ramiona, ale nie darmo dźwigała długą suknią i lat ośmnaście. Za-

śmiała się tylko z młodzieńczem szczęściem, oparła się o jego ramię, podała rączkę i wpadli między taneczników.

Po chwili zarumieniona i zdyszana, spojrzała ku niemu.

— Tak dobrze z panem tańczyć! Byle bardzo długo...

— I owszem. Dopóki stanie muzyki — odparł.

— A pan mówił, że za stary na to. Kiedy pan tańczył raz ostatni?

— Przed czterema laty, na swojem weselu.

— Z żoną? Jak to zabawnie, że pan już miał żonę!

— To wcale nie zabawnie, niestety, że już jej nie mam!

— Dawno pan ją stracił?

— Przed rokiem.

— To pan może z drugą się ożenić.

— Zapewne, tylko nie znajdzie się dość śmiała, by chciała pójść za mnie.

— Czemu?

— Mam dwoje dzieci.

— Więc cóż? To taka śliczna rzecz dzieciaki!

— Gdy mają lat ośmnaście, ale nie taki drobiazg, jaki mi pozostał. Na to trzeba nie-

lada poświęcenia, którego zresztą nie śmiałbym wymagać i dlatego żenić się nie myślę.

— Ej, to nie dlatego; ale kto stracił, co raz kochał, ten już pokochać raz drugi nie potrafi.

Spojrzał na nią uważnie. Miała minkę bardzo poważną, a oczy stały się bardzo głębokiemi i spokojnemi.

— Zapewne. Nieszczęśliwa miłość czyni człowieka dojrzałym przed czasem i hartuje niemiłosiernie.

— Ja myślę, że wszystkie miłości bywają nieszczęśliwe... — rzekła zupełnie seryo.

— Ja myślę, że pani dusza nie doznała dotychczas żadnej, a kiedy dozna, będzie to miłość szczęśliwa.

— Dlaczego? — spytała ciekawie.

— Bo pani... — zaczął i przeraził się końcem pomyślanego zadania. — Bo pani wydaje się stworzoną na to, by jakiemuś szczęśliwcowi być śpiewem i słoneczkiem przez całe życie.

Czy oszalał, układając podobny frazes i skąd mu strzeliła myśl podobna? Czy był jeszcze pod wpływem ponczu? Szczęściem, że się w porę zatrzymał.

Bo pani lada kogo nie pokocha, ale we-

sołego, dobrego chłopaka, takiego, jak Kazimierz naprzykład.

— Fe, za nic w świecie! Tak chciałam, żeby pan Kazimierz mnie się oświadczył, bo z początku więcej mnie asystował, niż Józi. Układałam sobie, jak mu odpowiem : „Jak pan śmie mówić mi o miłości, kiedy antypatycznie pana nie lubię!". No, i nie udało się. Oświadczył się Józi. Teraz jeszcze go mniej lubię za to.

— Bóg go ustrzegł przed haniebną klęską! — odparł Stanisław, ubawiony rzetelnie tą szczerością.

Czuł, że dziewczynka coraz ciężej opierała się na nim, że dyszała nierówno. Zatrzymał się w tańcu i podał jej krzesełko.

— Dziękuję panu. Ledwie żyję! — wyznała nareszcie.

Rozłożyła wachlarz i chłodziła się gwałtownie. On, równie zgrzany, wysunął się do męzkiego gabinetu i zapalił papieros.

Sam był przez chwilę. Stanął u okna, i zamyślony spoglądał na gaz i oświetlone okna przeciwległych domów.

Płynie czas, jak woda. Przed pięciu laty w tem samem mieście bywał często, starając się o żonę. Miał złoty humor i złote nadzieje. Tańczył, bawił się całą pełnią ochoty, wypełniał bez przymusu ciężką pańszczyznę kon-

kurenta, potem narzeczonego. Niósł z sobą i hojnie rozdawał ludziom swą radość i szczęście. Wzbierała bo mu ona w piersi.

Myszkę Wojakowską okarmiał łakociami, nazywał czarną kotką: z Józią przekomarzał się, kolegów gościł, ulubieńcem był starszych dam i szerokiego koła znajomych. Winszowano mu świetnego losu.

Płynie czas, jak woda.

Tylko pięć lat minęło, a oto został osamotniony i rozbitek z pysznej nawy. Odbiegła młodość i nadzieje, pozrywały się stosunki, rozpierzchły się znajomości. W domu puste gniazdo, w piersi puste serce, w myśli szara przędza trosk codziennnych, bez żadnej już złotej niteczki.

Drogo się płaci za nadzieje i szczęście, i czy te lata, co biegną, długie i monotonne, warte już nazwy życia?

— Płynie czas, jak woda! — wyszeptał sam do siebie, przesuwając dłonią po czole ruchem zmęczenia.

Poco się dał tu zaciągnąć, gdzie już nie jego miejsce, gdzie się ludzie jak on niegdyś, bawią kochają, zakładają rodziny! Komu on tutaj potrzebny?

— Pan się schował! — zadźwięczał głosik Myszki z za nieco uchylonej portyery.

Odwrócił się żywo i rzucił papieros.

— Niech pan pali, i owszem! Chciałam spytać, czy pan po tańcu chce pomarańczy, bo ja bardzo.

— Zaraz pani przyniosę — ofiarował się.

— Nie trzeba. Jest, ale niech ją pan obierze, bo mi się nie chce ściągać rękawiczek.

Podała mu owoc i szczebiotała dalej:

— Pan tu stanie koło drzwi i będziemy jedli na współkę; a gdyby który z panów się pokazał to ja zemknę. Dobrze?

— Ofiaruję pani swą nieudolną pomoc.

— Byle kto nam nie przeszkodził. Tacy ludzie nudni!

W milczeniu odbierał pomarańczę a dziewczynka, wychylając swoję ruchliwą główkę z za portyery, przyglądała mu się z zajęciem.

— Czemu pan taki smutny? — spytała nagle.

— Minął już dla mnie wiek wesela. Odwykłem od śmiechu w domu, zapomniałem prawie rozmawiać.

— Alboż pan sam w domu?

— Dom pełny, ale ja sam.

— Biedny pan! — szepnęła cichutko, a usta jej drżały.

— Dziękuję pani za współczucie!

— Ja-bym tak chciała, żeby panu było

na świecie tak dobrze, tak dobrze, jak mnie dzisiaj.

Było tyle serca i ciepła w jej tonie, że mężczyzna, prawie nie zdając sobie sprawy, co robi, postąpił na przód, rękę jej ujął i podniósł do ust.

Zamilkli raptem oboje. Ona zapomniała rączki w jego dłoni, i patrzała w dal półprzymkniętemi oczyma; on uczuł nagle gorącą falę krwi w sercu.

— Odwykłem też od ludzkiego współczucia — zaczął mówić po chwili — a najmniej spodziewałem się go doznać tu, od pani.

— A to czemu? — przerwała obrażona

— Bo pani bardzo młoda i nie zna bólów życia. Zkąd więc litość dla mnie czuć pani potrafi?

— Ja także nie wiem zkąd, ale mi okropnie żal pana! Często pana u nas wspominają a ja pamiętam; że pan był dla mnie kiedyś bardzo dobry; i chciała-bym się panu odwdzięczyć.

— Jeżelim pani zrobił kiedy przyjemność, odpłaciła mi to pani z lichwą dzisiaj.

— Ej, nie prawda! — To by pan wesół być powinien, i tańczyć, i śmiać się, jak wtedy.

— Postaram się dla dogodzenia pani.

— Dziękuję panu!

Oczy jej po dawnemu zabłysły skrami swawoli. Pocałował znowu jej rączkę.

— W oczęta pani patrząc można odmłodnieć i trzeba być wesołym! — dodał z cicha.

Nagle odskoczyli od siebie, przestraszeni. Za nimi ktoś klasnął w dłonie i zaśmiał się.

— Przyjmijcie ode mnie pierwsze życzenie! — zawołał Kazimierz tryumfalnie.

Myszka w oka mgnieniu odzyskała przytomność i ciętą wymowę.

— Nikt nie kicha, więc życzenia pana zbyteczne... — odparła opryskliwie.

— Ja też zdrowia nie życzę, ale pomyślności szczęścia i dozgonnej miłości. Panna Myszka tak dobrze jest poinformowana, cośmy robili wczoraj o szarej godzinie; czy mogę spytać, czem państwo się zajmowali przed chwilą?

— I owszem. To żaden sekret. Jedliśmy pomarańczę.

— Niewiele jej ubyło... — odparł drwiąco inżynier, patrząc na owoc, niezupełnie obrany, w ręku kolegi.

— Alboż pan da skończyć?... Ciągle chodzi i szpieguje.

— Odpłacam się pani pięknem za nadobne.

— Przepraszam, ja nie szpieguję. Nie moja wina, że mi się narzucacie na oczy.

— Nie mamy się z czem ukrywać.

— A ja tem mniej. Czego pan tu przyszedł? Pójdę, powiem Józi, że pan jest nieznośny.

— A ja powiem Stanisławowi, że pani złośliwa.

— Nie prawda. Pan Stanisław mnie lepiej zna.

— Odkąd-że to? Nie widzieli się państwo pięć lat, a dzisiaj nie było wiele czasu do poznania.

— Panu nic do tego. Czego pan tu przyszedł?

— Szukam Stacha do kolacyi. Prowadzić będzie ciotkę Matyldę.

— Nieprawda! A mnie kto?

— Pannę Myszkę najładniejszy kawaler.

— Niech sobie prowadzi ten kawaler ciotkę Matyldę. Ja nie cierpię kawalerów.

— Tak? Odkąd-że to?

— Odkąd pana poznałam.

— I odnalazła pani Stacha?

— Panu nic do tego! — powtórzyła swoje, tupiąc nóżkami, a oczy jej nabiegały łzami rozdrażnienia.

— Kazimierz, daj pokój! — wmięszał

się obywatel — jeśli nas tam czekają, to chodźmy. Dosyć tego!

Pociągnął przyjaciela za sobą w przeciwległe drzwi. Rzeczywiście czekano na nich. Pary się formowały i wkraczały majestatycznie do jadalni.

Widocznie ciotka Matylda była zmyśloną, bo Myszka po chwili usiadła do stołu obok Stanisława, już nie gniewna wcale, lecz uśmiechnięta przekornie. Brzęk porcelany, szkła i sreber głuszył rozmowy sąsiadów. Kazimierz siedzący naprzeciw, daremnie łowił uchem dźwięki głosu przyjaciela, — nic nie mógł dosłyszeć. Uważał tylko, że obywatel stracił resztę sztywnej posępności, a Myszka z niebywałą, stałą uwagą słuchała go. Bawili się widocznie bardzo dobrze we dwoje. Pod koniec, wśród rumoru odsuwanych krzeseł i chwilowego zamieszania, przecisnął się do nich.

— Czy panna Myszka tańczy kadryla?

— Tańczę.

— I białego mazura?

— Tańczę.

— A ty, Agricolo, co porabiasz?

— Tańczę.

— Cieszę się, że ci sądy i proces o kapanie w gorzelni nie zatruły zupełnie humoru.

— Bynajmniej. Jeżeli przegram, mam nadzieję dostać od losu wynagrodzenie.

— W formie?...

— Józia na pana zerka niezzyt uprzejmie...— wtrąciła Myszka ze śmiechem.

Tańce rozpoczęły się ze zdwojoną ochotą. Inżynier śledził pilnie jednę szczególniej parę.

— Poczekaj chochliku — mruczał do siebie. — Dokuczałaś ty nam żartami, przedrzeźniałaś każde czułe słowo i spojrzenie, prześladowałaś śmiechem i drwinami! Poczekaj! chyba nie ja będę, jeśli cię dzisiaj nie dopilnuję i oddam żarty z procentem setnym! Poczekaj!

Para tancerzy, jakby przeczuwała jego złe zamiary, była wciąż na oczach i w pełnem oświetleniu salonu. *Konwenanse* były zachowane jaknajściślej.

— Ach jacy oni przyzwoici! — myślał z gniewem szpieg.

Nareszcie, gdy po chwili rozmowy z narzeczoną podniósł oczy, nie znalazł ich w salonie.

Porwał się, jak ruszony sprężyną i poskoczył do męzkiego gabinetu. Cicho, na palcach, zbliżył się do firanki, nastawił uszu.

Muzyka brzmiała i tupali tańczący, pomimo to, on coś słyszał widocznie, bo nie szukał dalej zbiegów.

Chwilami uśmiechał się i sięgał ręką do portyery. Rozchylić ją chciał i spłoszyć rozmawiających, zemścić się na swawolnicy. Nie uczynił tego jednak: Słuchał, rysy mu poważniały, wspomnienie jakieś zacierało myśl złośliwą, wreszcie odsunął się zupełnie.

— Szkoda ich! — zamruczał. — On biedak zapomni trosk na chwilę i odżyje a ona już żartować nie będzie. Eh, co mi tam! Pójdę do Józi!

I wyszedł. Nikt oprócz niego, nie zauważył, gdy wrócili. Wmięszali się w wir, i niczem się nie różnili od innych—może większem roztargnieniem tylko.

W przerwie, gdy roznoszono chłodniki, inżynier zbliżył się do nich i zajął opróżnione krzesło.

— Czy panna Myszka nie czuje ochoty do polki? — spytał.

— Nie, wcale.

— Nawet do tej najulubieńszej: „Le premier baiser“?

Odwróciła się raptem od niego i tylko jedno uszko zostało mu widzialne — purpurowe.

Nie znalazła ciętej odpowiedzi tym razem. Rozrzuciła wachlarz i spojrzała żałośnie na obywatela, jakby na niego zdawała już teraz

obowiązek obrony przed złośliwym napastnikiem.

— Uważam, że ty masz do niej największą ochotę! Możesz zadysponować muzyce! — odparł Stanisław.

— Uważam, że chcesz mnie się grzecznie pozbyć.

— Bynajmniej, pod warunkiem, że postarasz się być poważnym.

— Poważnym i owszem! Opowiedz mi historyą twego procesu. Ulżyj swemu stroskanemu sercu. Mówiliście zapewne o tem?

— Skończyliśmy właśnie, gdy pan przyszedł. — wtrąciła Myszka.

— Jaka szkoda! Więc może o mężobójczyni?

— Panie Kazimierzu, ciotka Matylda odjeżdża! — zawołała Józia przybiegając.

— Odjeżdża? jakże mi przykro! — zauważył niepoprawny żartowniś, idąc jednak za nią do przedpokoju.

Gdy wrócił, zawołała go pani domu i obarczyła poleceniem gospodarczem, potem narzeczona wynalazła jakiś interes. Biegając tu i tam, stracił z oczu swe ofiary, a gdy ich wreszcie sobie przypomniał i chciał dalej dręczyć, Stanisława nie było.

Myszka roztargniona, tańczyła bez werwy

i zwykłego humoru, towarzystwo topniało powoli.

— Niema Stacha? — zagadnął przyszłą szwagierkę.

— Nie wiem! odparła, udając obojętność.

— Ejże! Z panią się pewnie pożegnał?

— Jeżeli wyszedł, to nie bez pożegnania.

— Do jutra?

Nie. Jutro wyjeżdża.

— Więc dzisiaj zatem stawi się z wizytą.

— Ciekawam, dlaczego to pana tak bardzo zajmuje?

— Dla trzech, nie! czterech powodów. Żeby dogodzić matce pani, jemu, sobie i otrzymać od pani podziękowanie.

— Za co?

— No, chociażby za — polkę tę ulubioną.

— A mamie co to ma dogadzać? — przerwała drażliwą kwestyą.

— Otrzymałem rękę Józi... przepraszam! panny Józefy...

— Niech się pan nie poprawia, rozumiem.

— Otóż zostałem przyjęty pod warunkiem, że ustąpię ze służby, a zajmię się waszym majątkiem. Matka zdecydowała się na to *in exstremis*. Biedny majątek ładnieby wyszedł na mojej opiece! Zresztą, ja także po-

wziąłem tę decezyą *in exstremis*, bo wsi nie cierpię, i zwichnąć sobie karyerę ciężko.

— Cóż to ma wszystko do pana Stanisława?

— To jest nasz zbawca. Zajmie moje miejsce i uszczęśliwi jednocześnie mamę, majątek, mnie i kogoś jeszcze. Przyjaźń moja dla niego była dzis-aj najzupełniej samolubną, co jednak mi nie przeszkodzi zbierania szczodrze daniny wdzięczności! Proszę zaczynać!

— Mocno się pan myli! bo ja właśnie czekam od pana tego samego.

— Ha, co robić! Pocieszam się tem tylko, że otrzymałem od pani pierwsze wyznanie.

— Odemnie! Nie wiedzieć co! Nic nie wyznaję!

— Ale już drugich pani zdradzać nie będzie?

— A pan się nie poważy żartować?

— Uchowaj Boże!

— No, to dobrze!

— Zawieramy zatem zaczepno-odporne przymierze, na siedm tygodni postu i dwa świąt, aż do dnia ślubu naszego.

— Ej, to tak długo! nie wytrzymam!

— W takim razie i ja coś szepnę!

— Ach nie, nie! Niech już będzie pokój!

— Zgoda zatem między nami.

— Tak, ale tylko do ślubu.

Zaśmiała się po swojemu, swawolnie, szczerze i zapieczętowała ugodę uściśnieniem dłoni.

— Ten sojusz będzie nam dobrodziejstwem w czekaniu! — zaśmiał się, odchodząc.

Obywatel tymczasem wrócił do hotelu. Zmęczonym się czuł i rozstrojonym okropnie. Zapalił świecę i chodził po pokoju.

W oknach pojaśniało, on chodził; świeca się dopaliła, on chodził; dzień był wielki, on jeszcze chodził. Nareszcie posłyszał dobijanie się do drzwi i otworzył. Przed nim, wyświeżony, uśmiechnięty, stał inżynier.

— Co to? Już wstałeś?

— Wcale się nie kładłem.

— Awantura! I na sąd nie idziesz?

— Ani myślę! Zapłacę karę.

— I do akcyzy nie szturmowałeś?

— Zapomniałem.

— Cóżeś robił? Toć jedynasta godzina!

— Przeklinałem ciebie!

— Mnie? Chrześcijańskie spędzenie czasu! Niech sobie będzie pogańskie. Przeklinałem i przeklinam! Przez ciebie jestem mordercą.

— Mor-der-cą? Myślalem, że tylko przezemnie jesteś narzeczonym!

— To na jedno wychodzi.

— Zupełnie nowy sposób widzenia rzeczy. Jakże to?

— Mordercą jest, kto młode, szczęśliwe, niefrasobliwe dziecko wprzęga w jarzmo ciężkich, mozolnych obowiązków. Zapominasz, że mam dwoje dzieci.

— O jej! Albo to się na tem skończy! Będziesz miał ich kopę bez żadnego morderstwa.

— Mordercą jestem i basta! Brać to szczęśliwe dziecko, żeby pilnowało parę krzykliwych bębnów.

— Pocóż ona właśnie! A cóż będzie robić stara Wojakowska? Z całą rozkoszą poświęci się piastowaniu, byleś ty jej zabrał z barków zarząd majątku i uszczęśliwił córkę.

— A Bychowa?

— Do Bychowa zajrzysz czasem, żeby pogodzić niewiasty swoje i zamknąć choć raz na rok świątynię Janusa. I ta kwestya zatem jest załatwiona, bez perspektywy mordu.

— Obywatel machnął ręką. Argumenta przyjaciela były jasne, jak słońce, a proste, jak drut, nie miał im nic do zarzucenia; ale tak prędko wyznać tego nie chciał. Nie dlatego spędził noc bezsenną, by teraz sprawcy tych nowych trosk padać zaraz w objęcia. Musiał się wygadać i wyburczeć.

— Licho mi ciebie nasłało! — mruczał, rozpoczynając znowu bezcelową przechadzkę i zapalając setny papieros. — Ładnieś mnie pocieszył!

— Jakto! O, bezgraniczna niewdzięczności! Przypomnij sobie: byłeś głodny — nakarmiłem cię; znudzony — zafundowałem ci piramidalną zabawę; miałeś proces — skasowany za moją pomocą; dokuczyła ci ława przysięgłych — załagodziłem prezesa; siedziałeś smutny, jak sowa — sprawiłem, żeś tańczył i śmiał się ochoczo. No, i za to wszystko jeszcze burczysz! Wymagający jesteś, Agricolo! Muszę to, Myszce powiedzieć!

Na to imię obywatel poczerwieniał, niewiadomo z gniewu, czy z przyjemności.

— Ale w tych wszystkich obietnicach nie było mowy, że za twą także pomocą i współudziałem sfiksuję i oświadczę się, jak błazen! — wybuchnął.

— No, nie. Tego wprawdzie stanowczo nie obiecywałem, ale w duchu pieściłem zamiar. Kiedy się stał faktem, to teraz darowuję ci go gratis, tak sobie, nad program.

— Nad program! — powtórzył obywatel ze złością. — Cały program twój niby coś wart bez tego.

— Morderstwo! — dokończył inżynier

wesoło — Chwała Bogu, że twoja szczerość przedarła pancerz skrupułów. Co? bracie! Na to „nad program" postawimy dzisiaj wazę ponczyku i przyznasz mi talent do dyplomacyi! Co?

Ostatnia chmura rozwiała się na czole obywatela. Uśmiechnął się i podał koledze prawicę.

— Przyznać, to przyznam, co chcesz i dziękuję ci, ale ponczu pić nie będę. Jutro trzeba do domu wracać i myśleć o przyszłości; więc dziś wieczorem pójdę do niej. No, no, to twoje „nad program", odrzuciło mnie o sto mil od wczorajszej ścieżki życiowej. No, jak Bóg da!

Marya Rodziewiczówna.

Gdy wtem naraz zabrakło mi gruntu pod nogami i zanurzyłem się pod wodę. Widocznie podczas wezbrania rzeki woda wyrwała w tem miejscu brzegi i utworzyła głębię, której dawniej tam nie było. Adaś zajęty na brzegu ubieraniem się, nie zauważył wcale mego wypadku, a ja co prędzej wydobyłem się na wierzch kilku poruszeniami rąk. Równocześnie jednak przyszło mi na myśl, że to, co się mnie stało, może się stać także innym, i zaniepokojony spytałem Adasia:

— Czy wiesz dobrze, że twoje siostrzyczki tu się kąpią zawsze?

— Z pewnością, skoro tu zostawiły chusteczkę.

— Ależ to musisz im powiedzieć, że tu jest ogromna głębia, że tu nie można się kąpać.

Chłopiec parsknął śmiechem.

— Dlaczego się śmiejesz? — spytałem urażony.

— Bo one nie boją się wody, proszę pana; one umieją pływać lepiej niż ja, albo pan.

Pomimo tego zapewnienia Adasia, byłem cały dzień niespokojny; ciągle myślałem o niebezpieczeństwie, zagrażającem

moim Beatryczom, bo to, że umiały pływać, nie uspokajało jeszcze dostatecznie moich obaw. Wszakże dobrym nawet pływakom trafia się takie nieszczęście, a nawet prędzej takim, bo lekceważą sobie wszelkie środki ostrożności i igrają ze zdradnym żywiołem.

Miałem tak głowę nabitą temi myślami, że długo w noc usnąć nie mogłem tego dnia i usnąłem dopiero wtedy, gdy jasne świty zaczęły już przecierać szare niebo, a miałem sny męczące, bo nastrojona złemi przeczuciami wyobraźnia wytwarzała obrazy jedne straszniejsze od drugich.

Naraz obudził mnie jakiś krzyk przenikliwy, rozdzierający uszy i serce, potem drugi i trzeci. Krzyki szły od strony rzeki, krzyki niewieście, piskliwe, jakby wydobywane z gardła, ścieśnionego trwogą i przerażeniem.

Od razu przyszło mi na myśl, że to one toną i wołają ratunku: więc nie namyślając się ani chwili, tak jak leżałem, zerwałem się z łóżka, wyskoczyłem oknem na ogródek, przez płot, i pędziłem bez tchu jak szalony, w stronę rzeki, układając sobie w głowie cały plan ratunku,

który wydawał mi się tem łatwiejszym, że głębia była blizko brzegu. Powtarzające się co chwila krzyki popędzały mnie do coraz szybszego biegu, że kiedy dopadłem wreszcie do wysokiego brzegu, w którego głębi płynęła rzeka, byłem tak wyczerpany z sił, taki zziajany, że upadłem ze zmęczenia na ziemię. Przerażająca cisza, jaka zapanowała nagle nad rzeką, podniosła mnie znowu na nogi. Zadrżałem z przerażenia, czy nie przybyłem za późno, i zerwałem się, aby zejść co prędzej na dół.

Lecz jakież było moje zdziwienie, kiedy wśród rażącej jasności blasków słonecznych, które oświecały powierzchnię rzeki, zobaczyłem trzy moje boginie nurzające się miarowem tempem w falistych kręgach i pryskające na siebie różowemi dłońmi kaskady wody, które rozpadając się na drobne kropelki, jaśniały w słońcu niby brylantów tysiące! Wesołe śmiechy towarzyszyły tym panieńskim igraszkom.

Widząc to, domyśliłem się odrazu, że krzyki pochodziły prawdopodobnie z nerwowego rozdrażnienia, gdy wchodziły do zimnej wody, i tylko moja wyobraźnia nastraszona snami i przeczucia-

mi w pierwszej chwili przebudzenia inaczej sobie to wytłómaczyła.

Ta refleksya wytrzeźwiła mnie odrazu, a równocześnie dała mi poznać całą śmieszność mojej sytuacyi w tem miejscu i w takim negliżu.

Cofnąłem się co prędzej, aby mnie która z pań nie spostrzegła, i zabrałem się do powrotu. Gdy wtem spostrzegłem idące od strony dworu dwie postacie niewieście, prosto ku mnie. Z przerażeniem poznałem, że to była hrabina, a z nią ten szatan wcielony — Filipina.

Musiała mnie zobaczyć, bo ręką wskazywała w moją stronę i coś żywo gestykulowała, a hrabina, przyłożywszy lornetkę do oczu, także mnie obserwowała.

Pokazać im się w takim negliżu nie mogłem, nad rzekę wracać także nie śmiałem, żeby mnie nie spostrzeżono, a tu schronić się nie było gdzie, bo wokoło ścierń tylko zżętego żyta, nic więcej, ani krzaczka, ani drzewka, na któreby się od biedy schować można — nic, nic, a tu postacie niewieście zbliżają się coraz więcej ku mnie.

Położenie było okropne, bez wyjścia. W braku czegoś lepszego rzuciłem się

w bruzdę, twarzą do ziemi, i przytulając się jak najwięcej tylko można było do ścierni, które mi kłuły niemiłosiernie policzki, starałem się zrobić jak najmniejszym, zamknąłem nawet oczy, aby się uczynić mniej indywidualnym, i z zapartym oddechem leżałem tak nieruchomo, jak kawałek płachty, zostawiony na polu i czekałem, dopóki nie przejdą.

Kiedy już odgłos ich kroków ucichł zupełnie, wtedy dopiero zerwałem się jak zając z bruzdy, trapiony ciągle pytaniem: czy mnie widziały? Jeżeli widziały — zginąłem, bo jakże się tu wytłómaczyć z tak zagmatwanej sytuacyi? Z bijącem sercem oczekiwałem chwili, w której miałem iść do pałacu, nie wiedząc, jakie mnie tam czeka przyjęcie, i na wszelki wypadek stylizowałem sobie w myśli całą obronę. Ale gdy miałem już wychodzić od siebie, spotkałem się we drzwiach z lokajem, który mi przyniósł śniadanie i list od hrabiego w dużej kopercie.

List zawierał te słowa:

„Po naradzie z moją żoną postanowiliśmy oddać syna naszego na rok przyszły do którego z zakładów naukowych

prawdopodobnie do Chyrowa, wskutek czego zwalniamy pana od dalszej opieki nad nim i w załączeniu przesyłamy należące mu się wynagrodzenie z podziękowaniem za trudy. podjęte w kształceniu naszego jedynaka. Konie są w każdej chwili do pańskiej dyspozycyi.“

Zrozumiałem od razu, co spowodowało napisanie tego listu; posądzono mnie z pewnością o niemoralne zachowanie się, o podpatrywanie kąpiących się panien, i do tego jeszcze hrabianek, a ja ani usprawiedliwić się, ani wytłómaczyć z tego nie mogłem, bo z czegóż miałem się tłómaczyć? Wszakże mi wyraźnie nic nie zarzucono? Jako powód mego oddalenia podano umieszczenie syna w zakładzie, a przecież każdy ojciec i matka ma prawo rozporządzania swojem dzieckiem i oddania go tam, gdzie uważa za stosowne. Nie pozostało mi więc nic innego, tylko poddać się fatalnej konieczności i wyjść z tego raju, w którym mi tak było dobrze.

I oto, jak pan widzisz, siedzę teraz na bruku miejskim, zmuszony pracować w pocie czoła na kawałek chleba, jak

niegdyś świętej pamięci mój praojciec Adam, a w chwilach wolnych pocieszam się i trapię zarazem wspomnieniem utraconego raju.

Michał Bałucki.



SAMOTNOŚĆ.

Lubię głuchą samotność — to nieme milczenie
Tajemne duszy mojej maluje rozkosze;
Wśród jej ciszy czarownej myślą się unoszę
Gdzieś w krainę anielską — pierś ma wolne tchnienie
A choć się czasem smutne natrąci marzenie
I ściśniony łzą żalu lica moje zroszę,
Jedną dumką samotną wnet troski rozproszę
Łzy otrę — lekkie tylko uronię westchnienie.
Znów się widzę szczęśliwym — tu rozkoszne kwiecie
Zachwycają mię zwolna, tu łączka wesoła
Uśmiecha się swym wdziękiem; rozkoszą dokoła
Otoczon — i tak wolny, jak motylek w locie
Pełen szczęścia w objęciu cichości Anioła,
Daleki od trosk ziemi, w innym żyję świecie!

Ignacy Korzeniowski.

Usychasz, kwiatku, śród słonecznych skwarów?
Rwą twoje listki wiatry szalejące?
Ścina twój kielich mróz śnieżnych obszarów?
Nęka cię zima i nęka cię słońce?
Ja, robak ludzki, zazdroszczę ci losu,
Bo nowe wiosny zbudzą nowe kwiaty,
Umilkną wiatry, pieśń słowików głosu
Przepełni znowu odrodzone światy.
O twoje listki walczy dłoń przyrody,
Która nie pojmie, czem jest myśl człowieka,
Więcej ją nęci uśmiech twej pogody,
Niż łza, co z naszej źrenicy pocieka.
Śle ona wichry po szerokim świecie.
Rozpina łańcuch granitowych szczytów,
Cóż ją obchodzą duchowe zamiecie,
Wszystkie zagadki bytów, czy niebytów...

Cóż ją obchodzi plemię marzycielki,
Gdy lada drgnięcie tej ziemskiej skorupy
Zniweczy wszystko — i tych, co łzy leli,
I tych, co z krwi czerpali swe łupy!

Andrzej Niemojowski.

Wyborne legumniki.

Budyń pomarańczowy.

Dwie duże ładne soczyste pomarańcze ugotować w wodzie, aby miękkie były a potem przetrzeć je przez sito. Dwie bułki dawniejsze, ale nie zbyt suche, otrzeć na tarku z wierzchniej skórki lub obkroić nożem i namoczyć w surowej śmietance lub świeżem mleku. Utłuc w moździerzu pół szklanki migdałów sparzonych i przygotować trzy ćwierci szklanki tartego cukru. Potem wziąść pół ćwierci kilogram. masła deserowego i utrzeć go doskonale wałkiem w dojnicy, dodając po jednemu sześć żółtek. Gdy masło już utarte na pianę, dodać przefasowane pomarańcze i znów ucierać. Potem włożyć bułkę dobrze z mleka wyciśniętą, następnie dodać przygotowane mi-

gdały i cukier i znowu razem ucierać, dopokąd nie zrobi się jednolita, gładka masa. Przy końcu wsypać dobrą garść rodzenek lub cykatki drobno pokrajanej co kto lubi. Dodać pianę tęgo ubitą z sześciu pozostałych białek, wymięszać lekko z utartą masą i nałożyć do formy lekko masłem wysmarowanej i posypanej tartą bułeczką. Przykryć szczelnie pokrywą i dać do kipiącej wody, niech się gotuje godzinę. Dolewać ciągle kipiącej wody, w miarę jej wygotowywania się. Po godzinie wyrzucić na półmisek i polać szodem z wina, najlepiej z wina czerwonego.

Budyń z wiśni.

Trzy dawniejsze bułki kajzerki, jednak nie zbyt suche, obkroić z wierzchniej skórki a ośrodki namoczyć w słodkiej zimnej śmietance lub dobrem, świeżem mleku. Gdy dobrze rozmokną, wycisnąć mocno ręką z mleka. Odważyć szesnaście dkg. jak najlepszego, niesolonego masła i dwadzieścia dekagr. mączki cukrowej, dać masło

do rądelka, postawić na kuchni, rozpuścić, włożyć rozmoczoną i wyciśniętą bułkę, wsypać cukier i mięszać ciągle masę na ogniu, dopokąd od rądelka odstawać nie będzie. Potem dać na miskę, a gdy przestygnie trochę, wbić sześć żółtek, wbijając po jednemu i ucierając ciągle dobrze. Wszystko razem dobrze utrzeć, a potem dodać pół kilogr. dobrych wiśni wydrelowanych.

Kto lubi, można dodać troszkę miałko utłuczonego i przesianego cynamonu, wymięszać wszystko razem, dodać pianę tęgo ubitą z sześciu pozostałych białek, znów delikatnie wymięszać, następnie nałożyć do formy blaszanej budyniowej, przykryć szczelnie pokrywką i gotować w rondlu lub rynce napełnionej wodą, dolewając wody, w miarę wygotowywania się jej. Podając do stołu, polać szodem z czerwonego wina, dorzuciwszy jeszcze do niego w czasie gotowania kilka wisień.

Budyń biszkoptowy z poziomkami.

Kupić w cukierni pół kilogr. biszkopcików. Odważyć trzydzieści dekagr. dojrzałych poziomek, wysmarować formę młodem, niesolonem, deserowem masłem, i układać warstwę biszkoptów i lekką warstwę poziomek, skrapiając obficie każdą warstwę biszkoptów dobrym maraskinem, i postępując tak dalej dopokąd wszystkie biszkopciki i poziomki nie wyjdą. Potem ubić mocno cztery całe jaja z pół litrą świeżego mleka i trzema łyżkami cukru, i zalać tym ubitym mlekiem ułożone biszkopciki w formie. Następnie włożyć formę w rondel z wodą i gotować dolewając kipiącej wody, w miarę wygotowywania się jej. Podaje się z szodem lub bez. — Można także robić ten budyń i ze świeżemi malinami, również jest bardzo dobry. — W zimie gdy niema świeżych owoców można przekładać ten budyń konfiturami z poziomek lub malin, a nawet rodzynkami korynckiemi i sułtańskiemi, wymięszawszy je z drobniutko pokrajaną cykatą lub smażoną cykatką

i dodawszy troszkę drobniutko posiekanej skórki pomarańczowej smażonej.

Budyń ponczowy.

Ćwierć kilogr. cukru w kawałku otrzeć o skórkę ze świeżej cytryny, a potem utrzeć ten cukier na tarku. Wsypać utarty cukier do dojnicy, wbić siedem żółtek, wbijając po jednemu, i za każdym żółtkiem, dobrze ucierając i ucierać tak wałkiem przez kwadrans. Mieć przygotowanych dziesięć dekagr. migdałów utłuczonych w moździerzu i jedną soczystą cytrynę obraną ze skórki, z której wyrzucić pestki. Posiekać drobniutko, wymięszać z utłuczonemi migdałami, dodać do utartych żółtek z cukrem i trzeć jeszcze razem przez dziesięć minut. Dwie bułki kajzerki, otrzeć na tarku ze skórki, ośrodki namoczyć w dobrym rumie, tyle tylko co zabierą, a potem namoczoną i bardzo lekko wyciśniętą bułkę i również jedną suchą, utartą na tarku, włożyć do utartych żółtek i migdałów i ucierać jeszcze z wałkiem przez kwan-

drans z bułką. Na ostatku dodać pianę tęgo ubitą z siedmiu pozostałych białek, wymięszać lekko i nałożyć do formy wywysmarowanej niesolonem świeżem masłem i wysypanej bułeczką. Przykryć szczelnie i gotować w parze, wstawiwszy formę w rądel z wodą. Dolewać ciągle wrzącej wody w miarę wygotowywania się jej. Dając na stół, polać dobrym osłodzonym rumem, można nawet rum zapalić, lecz koniecznie półmisek musi być rozgrzany.

Legumina śmietanowa.

Wziąść pietnaście dekagr. deserowego niesolonego masła i utrzyć w dojnicy wałkiem na pianę. Potem wbić dziesięć żółtek i znów ucierać razem do białości. Gdy już bardzo dobrze żółtka z masłem utarte, dolać dwie szklanki, gęstej, dobrej, kwaśnej śmietany, wsypać dwie szklanki miałkiego cukru, z jednej cytryny skórki cytrynowej utartej na tarku, i sporą szklankę przennej, ładnej

mąki. Wymięszać wszystko razem bardzo dobrze, potem dodać pianę tęgo ubitą z pozostałych białek i znów wszystko razem delikatnie wymięszać Mieć przygotowany rądel lub rynkę masłem wysmarowaną i obsypaną tartą bułeczką, wlać przygotowaną masę i upiec w gorącej bratrurze, uważając jednak bardzo, aby się legumina nie paliła, a ładnie zrumieniła.

Można zrobić tę legumine, dając wszystkiego po połowie. Wystarczy na na cztery osoby.

Legumina czekoladowa.

Włożyć do rynki dziesięć dekagr. młodego niesolonego masła, wlać szlankę świeżego, nieprażonego mleka, wsypać dwie łyżki miałkiego cukru i postawić na kuchni niech się wszystko razem zagotuje. Wtedy wsypać dwie łyżki mąki i mięszać ciągle, aby gruczołków nie było. Gdy już masa od rynki odstawać będzie, dać do dojnicy, a gdy wystygnie wbić sześć żółtek, wbijając po jednemu i za

każdym żółtkiem dobrze ucierając potem wsypać pół szklanki dobrej, miałko utartej czekolady, pół łyżeczki miałko utłuczonej i przesianej wanilji, pół szklanki utłuczonych migdałów i ucierać wszystko razem bardzo dobrze wałkiem przez pół godziny. Na ostatku dodać pianę tęgo ubitą z pozostałych białek, wymięszać delikatnie wszystko razem i dać do formy wysmarowanej młodem, niesolonem masłem i wysypanej bułeczką. Upiec w niezbyt gorącej bratrurze.

Legumina cytrynowa lub pomarańczowa.

Ugotować jedną soczystą cytrynę lub pomarańczę na miękko. Gdy wystygnie, wyjąć z wody, powyjmować ziarnka, pokrajać cytrynę lub pomarańczę na kawałki, dać do dojnicy wraz z sokiem i utrzeć wałkiem na masę a potem przetrzeć przez sito. Potem znów dać do dojnicy, wbić po jednemu siedem żółtek, wsypać dwadzieścia dekagr. utartego cukru i ucierać wałkiem doskonale, w jed-

ną stronę, dopokąd masa nie zgęstnieje i nie zbieleje. Przy końcu wsypać pół szklanki utartej, przesianej bułki i dobrze razem wymięszać. Na ostatku dodać pianę tęgo ubitą z pozostałych siedmiu białek i znów lekko wymięszać. Dać do rynki wysmarowanej młodem, niesolonem masłem i wysypanej bułeczką i włożyć do średnio gorącej bratrury. Piec dwadzieścia do dwudziestu pięciu minut. Gdy legumina gotowa podać ją zaraz do stołu, dłużej stać nie może, bo się zapadnie.

Legumina brzoskwiniowa.

Dziesięć dekagr. migdałów sparzyć, obrać z łupki, i bardzo drobno usiekać. Wziąć półtorę szklanki świeżego, niezbieranego mleka, wsypać do niego migdały, włożyć pół laseczki, dobrej wanilji i razem zagotować. Tymczasem wziąść pół szklanki zimnego mleka, wsypać do niego cztery łyżki ładnej, kartoflanej mąki, rozbić razem dobrze, potem przecedzić aby grudek nie było, a gdy mleko zacznie się

gotować, odsunąć rynkę na bok i wlać rozbitą mąkę z mlekiem, mięszając ciągle. Gdy masa przestygnie, wbić sześć żółtek, wbijając po jednemu, wsypać trzy łyżki miałkiego cukru, utrzeć wszystko razem dobrze, wymięszać, na ostatku, dodać pianę tego ubitą z pozostałych białek i znów lekko wymięszać. Ryneczkę lub foremkę wysmarować młodem, niesolonem masłem, obsypać bułeczką, wyłożyć spód brzokswiniami smażonemi w syropie lub marmoladą morelową, na nią wył żyć przygotowaną masę i wsunąć do średnio gorącego pieca na kwandrans do dwudziestu minut. Podając do stołu obsypać cukrem zmięszanym z wanilją.

Soufflé cytrynowe

Ubić pięć lub sześć białek na bardzo sztywną, gęstą pianę, w którą gdy do połowy ubita, wcisnąć soku z całej cytryny i skórkę utartą z jednej cytryny. Potem ubijać pianę, aż do zupełnej szty-

wności, dodać po jednemu trzy żółtka, lekko wymięszać, wsypać pół ćwierci kilogr. miałkiego cukru, pół łyżki mąki i lekko wymięszać. Dać na stary półmisek lub blachę lekko masłem wysmarowaną, posypać z wierzchu cukrem otartym o cytrynę i wsunąć do pieca na dziesięć do piętnastu minut. Można podać do tego soufflé sok lub szodo. Zupełnie tak samo robi się soufflé pomarańczowe, tylko zamiast cytryny używa się sok pomarańczowy i cukier ociera się o pomarańczę.

Soufflé omletowe.

Wziąść sześć jaj, białka ubić na pianę. a żółtka pozostawić w skorupkach i ostrożnie ułożyć na talerzu, aby się nie wylały. Gdy piana już doskonale ubita, spuszczać w pianę jedno żółtko za drugim i lekko bardzo mięszać, aby piany nie rozbić. Mięszając wsypywać uważnie trzy łyżki cukru i łyżkę mąki. Przy końcu skropić wymięszaną pianę dobrym

rumem lub maraskinem. Potem ułożyć na stary półmisek wysmarowany młodem, niesolonem masłem, z wierzchu posypać grubo tłuczonem cukrem z wanilią i bardzo drobno posiekanemi migdałami. Można również na spód półmiska nałożyć marmolady owocowej lub konfitur osączonych z soku, a na wierzch dopiero ułożyć przygotowaną masę. Takie soufflé omletowe jeszcze jest wybredniejsze i bardzo smakuje. Jeżeli chce się mieć lżejsze wziąść więcej białek a mniej żółtek.

Soufflé kawowe.

Wziąć dwie łyżki bardzo dobrej mielonej kawy mokka, łyżkę dobrej herbaty i zaparzyć razem kipiącą wodą, tak aby z tego było cztery łyżki bardzo mocnego ekstraktu. Ekstrakt ten z zaparzonej kawy i herbaty dać do ryneczki, wsypać ćwierć kilogr. utartego cukru, wymięszać razem, postawić na boku kuchni, wbić po jednemu sześć żółtek i ubijać

ciągle miotełką, aż się masa dobrze spieni, uważając aby się masa zaparzyła a nie zagotowała, zupełnie tak jak przy szodonie. Gdy już jest zaparzona, odstawić, mieć przygotowaną pianę, ubitą dobrze z pozostałych sześciu białek, wymięszać delikatnie razem, mięszając wsypać łyżkę najładniejszej mąki, ułożyć na stary półmisek wysmarowany lekko młodem, niesolonem masłem, posypać grubo tłuczonem cukrem i wstawić do bratrury na kwandrans. — Kto lubi smak kawy wyborna legumina.

Legumina warszawska z jabłek.

Ćwierć kilogr. kaszki tapioki wysypać na salaterkę i nalać zimną wodą o tyle tylko, aby ją objęła, potem zostawić tak przez dwie godziny, aby tapioka napęczniała. Zagotować pół litry mleka, w gotujące się mleko wlać tapiokę i gotować na wolnym ogniu ze dwadzieścia pięć minut. Mieć przygotowanych sześć ładnych, dużych winnych jabłek, obrać je, wy-

drążyć i pokrajać w ćwiartki. Potem ułożyć na starym półmisku, obsypać suto cukrem zmięszanym z wanilią. skropić dobrym rumem lub kirschem i polać jabłka tą na gęsto ugotowaną tapioką. Wstawić do miernie gorącej bratrury na trzy kwadranse. Podając do stołu posypać jeszcze z wierzchu tłuczonym cukrem.

Jabłka w piance.

Obrać osiem lub dziesięć ładnych winnych jabłek, szlachetnego gatunku, wydrążyć je potem delikatnie nożykiem lub scyzorykiem, uważając bardzo, aby dużych dziur nie robić. Wysmarować ryneczkę młodem, klarownem masłem, obsypać każde jabłko dobrze cukrem, najlepiej tarzając je w cukrze na półmisku, potem ułożyć je w rądelku, podlać trochę klarownem masłem, dodać łyżkę wody, nakryć szczelnie pokrywką i dusić tak jabłka. uważając aby były miękkie, a całe pozostały. Gdy ugotowane, wyjąć delikatnie każde jabłko na półmisek, a gdy zupełnie

wystygną, nałożyć wewnątrz dobremi konfiturami osączonemi z soku i ułożyć jedno jabłko na drugim w kształcie piramidy. Ubić doskonale tęgą pianę z ośmiu białek, przy końcu ubijania wsypać do niej pół szklanki miałkiego cukru, podmięszać delikatnie i obłożyć tą pianą jabłka, tak aby zupełnie były nią zakryte, pokarbować zgrabnie nożem i osypać z wierzchu grubo tłuczonym cukrem. Wsunąć na pół godziny do letniej bratrury. Gdy pianka dobrze przyschnie a nie pożółknie, obrać konfiturami i wydać do stołu.

Jabłka nadziewane po hiszpańsku.

Wziąść osiem lub dziesięć ładnych, dużych, winnych jabłek szlachetnego gatunku, jednakże z tych które się nie rozsypują, obrać je z łupki, wydrążyć zgrabnie łyżeczką umyślnie do tego przeznaczoną, ułożyć na blachę, lekko młodem, niesolonem, masłem wysmarowaną, skropić lekko wodą, posypać cukrem i upiec w niezbyt gorącej bratrurze, uważając bardzo aby się ładnie piekły. Upieczone wy-

jąć ostrożnie widelcem i ułożyć jedno koło drugiego na starym półmisku, następnie nadziać każde jabłko konfiturami z róży, wiśni lub truskawek. Można także marmoladą morelową lub głogową. Mieć przygotowaną szklankę słodkiej, dobrej śmietanki i zagotować ją z kawałkiem wanilji. Wziąść pięć żółtek, ubić do białości ze szklanką cukru i łyżeczką mąki kartoflanej. Gdy już doskonale do gęstości ubite, wlewać po trochu zagotowaną, gorącą śmietankę i mięszać ciągle, a potem oblać przygotowane jabłka, obsypać tartemi, suchemi biszkopcikami, przesianemi przez sitko lub sucharkami, wrzucić gdzieniegdzie po kawałeczku młodego, niesolonego masła i wsunąć na sześć minut do niezbyt gorącej bratrury. Można także tak przygotowane jabłka oblać młodą, kwaśną śmietaną, ubitą na gęsto z cukrem i wanilią. Również są bardzo dobre.

Szarlotka z jabłek.

Wziąść dwie bułki kajzerki, nie zbyt świeże, otrzeć je na tarku z wierzchniej

skórki, pokrajać w plasterki i umaczać każdy plasterek w roztopionem, młodem, niesolonem maśle. Ryneczkę wysmarować roztopionem, klarownem masłem, a potem wyłożyć spód i boki ryneczki umaczanemi grzankami. Środek nałożyć dęstowanemi jabłkami, które przyrządzić w następujący sposób: obrać i pokrajać w plasterki z dziesięć dużych, winnych, dobrych jabłek, dać ich do rądelka, dodać cukru do smaku, odrobinę utłuczonego i przesianego przez sitko cynamonu, z pół łyżki młodego, niesolonego masła i dęstować na wolnem ogniu, często mięszając. Gdy już dobrze jabłka udęstowane i troszkę przestygną, wymięszać z dobremi konfiturami, jakiemi kto lubi, domięszać także drobno pokrajanej skórki pomarańczowej smażonej w cukrze i nałożyć na grzanki. Na wierzch nałożyć resztę grzanek, umaczanych w maśle, po wierzchu obsypać tartą bułeczką i wsunąć na dobry kwandrans do niezbyt gorącej bratrury. Gdy grzanki wyschną, szarlotka jest już gotowa.

Pływsie parzone.

Półtory szklanki wody i trzy ćwierci szklanki deserowego, sklarowanego masła wlać do rądelka, a gdy się zacznie gotować, wsypać potrochu ćwierć kilograma jak najpiękniejszej mąki i męszać wybijając bez ustanku, aż masa odstanie dobrze od rądelka. Wtedy postawić, aby przestygła. W przestudzone ciasto wbijać po jednemu sześć całych jaj, wsypać odrobinę utartej i przesianej przez sitko skórki pomarańczowej lub cytrynowej, jaką kto lubi, a potem doskonale ciasto wybić. Tymczasem w rynce rozpuścić sporą ilość, młodego, dobrego masła, można na pół ze świeżutkiem smalcem, potem brać łyżką srebrną, umaczaną w maśle, kawałki ciasta, wielkości sporego orzecha włoskiego i wrzucać nożem jeden kawałek po drugim na gorące masło, przykrywszy rynkę pokrywą, bo nakryte lepiej rosną, są delikatniejsze i pulchniejsze. Smażyć z dobry kwandrans, potem wyjmować łyżką durszlakową i kłaść na bibułę, aby osiąkły z tłuszczu. Następnie ułożyć na półmisek, posypać cu-

krem i podać do nich sok malinowy lub poziomkowy.

Racuszki.

Wziąść trzy ćwierci litry najładniejszej pszennej mąki, półtrzecia dekagrama drożdży i półtory szklanki świeżego, niezbieranego mleka. Rozczynić ciasto, a gdy ruszy się, dodać pięć żółtek, utartych poprzednio w misce z łyżką młodego, niesolonego masła, wsypać półtory łyżki cukru, odrobinę posolić, dodać troszkę skórki cytrynowej lub tłuczonej wanilii, co kto lubi i wymięsić ciasto doskonale, uważając, aby było wolnawe. Gdy już dobrze wymięszone, postawić w ciepłym miejscu, aby podrosło, a wtedy wyrabiać okrągłe kuleczki, wielkości orzecha włoskiego, wrzucać je łyżką do rynki na bardzo gorący smalec lub na smalec roztopiony z masłem, przykryć pokrywą, a gdy ładnie zrumienią się z jednej strony, zdjąć pokrywę, obrócić i dosmażać z drugiej strony. Wyjmować zgrabnie łyżką durszlakową, układać na

bibułę, aby dobrze z tłustości osiąkły, a potem zaraz gorące układać na rozgrzany półmisek i obsypywać miałkim cukrem z wanilią. Do takich racuszków podaje się sok malinowy lub poziomkowy.

Doskonałe naleśniki z konfiturami.

Najlepsze i najkruchsze są naleśniki rozbite z klarownem, zimnem masłem. Miarkować ilość jaj i mąki do ilości osób. Zwykle liczy się jedno jajo na jedną osobę. Biorąc pięć jaj, wziąść łyżkę sklarowanego zimnego masła i rozbić razem doskonale. Do pięciu jaj wsypać pięć łyżek kopiastych mąki, gdyż wtedy najlepsze są naleśniki, jeżeli się da łyżkę mąki na jedno jajo. Wybić doskonale kołotuszką jaja z mąką, tak, aby aż od garnuszka odstawały i rozlewać pół litrą mleka, dolewając po chochelce mleka w ubite jaja i ubijając jeszcze ciągle razem doskonale. Ciasto musi być lejące się, to jest o połowę jeszcze wolniejsze, jak na lanne ciasto. Mieć rozegrzaną patelnię,

smarować ją klarownem masłem, piórkiem do tego przeznaczonem i polewać ubitą masą z garnka, obracając patelnię na wszystkie strony, aby ciasto wszędzie było rozciągnięte. Powinno się to robić bardzo prędko, potrzymać patelnię chwilkę na mocnym ogniu, a gdy naleśnik usmaży się, okrążyć go nożem i przewrócić na talerz głęboki odwrócony. Gdy wszystka masa wysmaży się, składać każdy naleśnik w trójkąt, smarować patelnie obficie klarownem masłem i obsmażać każdy naleśnik na obie strony. Zaraz świeże podać do stołu, podając do nich konfitury z malin lub poziomek. Można także podać sok malinowy lub poziomkowy.

Naleśniki z kremem.

Usmażyć naleśniki wyżej podanym sposobem, wysmarować rynkę masłem śmietankowym, obsypać tartą bułeczką, ułożyć naleśniki i przełożyć każdy kremem, zrobionym w następujęcy sposób: Ubić doskonale do białości cztery lub

pięć żółtek ze szklanką cukru, do tych ubitych żółtek, wlać ćwierć litry bardzo gęstej, słodkiej, kremowej śmietanki, wsypać pół łyżeczki utłuczonej i przesianej wanilii i ubijać znów razem doskonale. Ubitem kremem przekładać naleśniki, układając ich po dwa. Gdy już rynka pełna, przykryć z wierzchu naleśnikami i wstawić na pół godziny do gorącej bratrury, uważając, aby krem upiekł się a nie rozpuścił, co zwykle zdarza się, gdy jakąś delikatną leguminę wsuniemy w za zimną lub za gorącą bratrurę. Gdy już naleśniki upieczone, wyłożyć na półmisek i ubrać z wierzchu konfiturami z malin.

Naleśniki migdałowe.

Pół litry świeżego, niezbieranego mleka, zagotować z kawałkiem wanilii i wystudzić. Do wystudzonego mleka wsypać dziesięć dekagr. migdałów utłuczonych w moździerzu na masę i wymięszać razem. Ubić doskonale w garnuszku cztery żółtka i dwa całe jaja z dwoma łyżkami cukru,

Do ubitych jaj wsypać sześć łyżek kopiatych mąki i ubijać znów razem doskonale. Gdy już dobrze razem ubite, wlewać przygotowane mleko z migdałami i znów rozbijać razem, potem smażyć, jak zwyczajne naleśniki, tylko trochę grubiej smarować patelnię klarownem masłem lub można nawet świeżem sklarowanem smalcem. Zwijać w chusteczkę trójkątną i zaraz gorące podawać do stołu. — Takich naleśników podaje się szodo z wina.

Marengi kasztanowe z marmoladą morelową.

Jeden kilogram dobrych kasztanów nalać ukropem, zagotować i obrać z czarnej skórki, potem nalać je zimną wodą, a gdy się zagotują, zdjąć drugą żółtą skórkę. Ugotowane kasztany, utrzeć na tarku lub rozetrzeć wałkiem w dojnicy. Następnie przetrzeć tę masę przez sito, dodać pół szklanki cukru, pół łyżeczki utartej i przesianej wanilii, trzy łyżki marmolady morelowej i wymięszać wszyst-

ko razem. Potem ułożyć wysoko w kształcie piramidy na starym półmisku, ubić bardzo tęgą pianę z czterech białek, domięszać do niej przy końcu ubijania cztery łyżki cukru, tą pianą przykryć z wierzchu ułożoną masę na półmisku i wsunąć na kilkanaście minut do letniego pieca. Gdy się piana lekko zarumieni, wyjąć i podać do stołu.

Krem śmietankowy.

Wziąść pół litry słodkiej, gęstej kremowej śmietanki na litrową formę kremu. Dwa dekagr. białej żelatyny, namoczyć naprzódna 2 godz. przed robieniem kremu w zimnej wodzie. Przed robieniem kremu, trzeba także śmietankę na pół godziny postawić w lodzie. Potem ubić doskonale trzepaczką i do ubitej śmietanki wsypać po trochu i delikatnie, czternaście dekagr. miałkiego cukru, zmięszanego z utłuczoną i przesianą wanilią. Z namoczonej żelatyny, zlać zimnę wodę, nalać pół szklanki ciepłej wody, rozpuścić żelatynę i wlewać po

łyżce do ubitego kremu, męszając prędko aby się nie zrobiły grudki w kremie. Formę wysmarować piórkiem umaczanym w olejku migdałowym, wlać ubity krem, przykryć formę pokrywą i postawić do lodu do ostygnięcia. Gdy dobrze zastygnie wyrzucić na półmisek i podać do stołu. Obłożyć biszkopcikami lub pianką.

Krem poziomkowy.

Namoczyć półtrzecia deka różowej żelatyny naprzód na dwie godziny w zimnej wodzie. Tymczasem przetrzeć przez sito 3 ćwierci kilogr. świeżych poziomek. Ubić tęgą pianę z czterech białek, do której wsypać przy końcu ubijania, 25 dekagramów miałkiego cukru. Cukier wsypywać po trochu, po łyżce i z lekka mięszać. Ubitą pianę zmięszać z przetartemi poziomkami. Osobno ubić pół litry słodkiej, gęstej, kremowej śmietanki, a gdy już ubita dobrze, zmięszać ją z pianą z poziomkami i żelatyną, którą rozpuścić przedtem w pół szklance gorącego mleka, zlawszy

z niej zimną wodę i dopiero zimną żelatynę wlewać po trochu, mieszając z poziomkami. Ubić potem wszystko razem bardzo dobrze, a gdy już ubite, dać do formy wysmarowanej olejkiem migdałowym. Potem postawić do lodu dla zastudzenia. Gdy dobrze zastygnie, wyłożyć na półmisek i ubrać pianką lub biszkopcikami.

Zupełnie tak samo robi się krem malinowy, tylko zamiast poziomek daje się ta sama ilość świeżych malin przetartych przez sito.

Krem kawowy.

Zaparzyć szklankę bardzo dobrej, mocnej kawy, jak najlepszej, bez cykoryi. Wziąć trzy ćwierci litry dobrej słodkiej śmietanki i zagotować razem z kawą. Ubić w wysokim, długim garnuszku do białości sześć żółtek z pół ćwierci kilogr. cukru i ćwierć szklanką gęstej kremowej śmietanki. Gdy już dobrze żółtka ubite, zalewać po trochu żółtka kipiąca kawą

ze śmietanką, i ubijać ciągle równocześnie, aby się grudki nie zrobiły, uważając również aby się żółtka nie zważyły tylko zaciągły. Trzymać ciągle na boku kuchni i bezustannie ubijać, dopokąd gęstnieć nie zacznie, wtedy odstawić i dodać dwa dekagr. żelatyny białej, wymoczoczonej przedtem na pół godziny w zimnej wodzie i dobrze z niej wyciśniętej. Wymięszać razem, a gdy żelatyna rozpuści się i masa trochę przestygnie, wlać ją do formy, postawić na lodzie i bić tak długo trzepaczką, aż zgęstnieje. Gdy dobrze zastygnie, wyrzucić na półmisek i podać do stołu, ubrawszy wkoło biszkopcikami.

PIERWSZE FIRMY LWOWSKIE

Tadeusz Okornicki

Magazyn Porcelany i Szkła

we Lwowie, ul. Halicka 4,

poleca po możliwie najniższych cenach

w wielkim wyborze

z pierwszorzędnych fabryk

czeskich, francuskich i saskich



kompletne

SERWISY

stołowe

i herbaciane

GARNITURY

do

umywalni

SERWISY

ze szkła

grawerowanego

gładkiego

i rzniętego

FAJANSE

angielskie.

Próbki czyli wzory Porcelany stołowej

wysyłam pocztą do wyboru.

Wielka wypożyczalnia

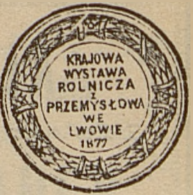
NACZYNIA STOŁOWEGO



JAHL IGNACY

właściciel zakładu

FRYZJERSKO-PERUKARSKIEGO



we Lwowie, plac Marjacki Hôtel Europejski

odznaczony na wystawie krajowej w r. 1877. medalem zasługi za wyroby perukarskie

MAGAZYN obficie zaopatrzony we wszystkie w zakres tych wyrobów wchodzące artykuły i **główny skład perfum** z pierwszorzędnych fabryk franc. i ang.

WIELKI WYBÓR ARTYKUŁÓW TOALETOWYCH,

jakoto: angielskich szczotek, grzebieni, luster, gąbek, francuskich pudrów, różów, blanszów, wody chinowej do wzmacniania włosów, farb, oraz wód które siwym włosom ich pierwotny kolor wracają.

Skład najprawdziwszej WODY KOLOŃSKIEJ. Wyrabia znany EKSTRAKT TANINOWY Z CHINĄ I GLICERYNĄ jako najlepszy środek przeciw wypadaniu włosów i na usunięcie łupieżu.

Wszelkie zamówienia uskuteczniają się w najkrótszym czasie i po cenach przystępnych.

ANTONI ENDERS

we Lwowie, Rynek l. 26.

poleca swój w skutek zmiany lokalu

nowo urządzony

HANDEL TOWARÓW DROBIAZGOWYCH

który najobficiej we wszelkie przybory do szycia, haftu i krawiecczyzny damskiej z pierwszorzędnych źródeł zaopatrzony został.

Również polecam: Wielki wybór haftów zaczętych i ukończonych na kanwie, suknie i innych materyałach, niemniej wszelkie gatunki włóczek, jedwabi, kanwy i t. p.

PRZYBORY DO INSTRUMENTÓW MUZYCZNYCH I STRUNY

zawsze świeże.

Zlecenia z prowincyi załatwiają się natychmiast.

